

POLSKA WALCZĄCA

ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCYZYŃNIE

FIGHTING POLAND — WEEKLY FOR THE POLISH FORCES — PRICE TWOPENCE

Wychodzi co tydzień

Dnia 6-go stycznia 1945r.

Rok VII. Nr. 1

PRZEŁOM

1 stycznia jest umownym i formalnym rozgraniczeniem dwóch okresów. Wielkie przełomy historyczne nie kierują się jednak kalendarzem, przypadają na różne dni, miesiące i pory roku, mają swe własne, zaskakujące ludzi prawa. 31 grudnia 1944 nie zamknął żadnego szczególnego okresu, 1 stycznia nowej karty historycznej nie odwraca. W duszy człowieka obecna wojna, przyspieszają zmiany, czasami przesady. Od nowej kartki na kalendarzu oczekujemy zmian, wiążemy z nią nadzieje, mówimy sobie wzajemnie: "oby było lepiej", szybko poprawiamy: "będzie lepiej". Pokolenia postępowaly tak przed nami, zwyczaj przejdzie na naszych synów i wnuków. Nie nam tu ruszać z udowadnianiem, że do uzasadnienia wiary w dobry los potrzeba czegoś więcej, niż prostej zmiany daty.

WOJNA PRZEMIENIONA W REWOLUCJĘ IDEI

Przełomem historycznym, rzeczywiście rozstrzygającym o naszym losie, był natomiast 1 września 1939 r. Od tego dnia nie objawiał się żaden równie doniosły moment. Bieg zdarzeń, wtedy zaczęły, nieprzerwanie trwa i coraz bardziej, w miarę przedłużania wojny, się komplikuje. Wiadomo już dziś, że wojna z Niemcami zamieniła się w rewolucję idei. Wiemy, że wojna z Niemcami zostanie wygrana, ale nie jesteśmy pewni, jak będzie wyglądał pokój. Nie tylko dlatego, że nikt nie potrafi przewidzieć, jaki będzie ostateczny układ sił politycznych na świecie, ale także dlatego, że Europa sama przeszła głębokie przeobrażenia i Europy tej, tyle lat zakutej w kajdany niewoli niemieckiej, jeszcze dobrze nie znamy.

Od 1939 do 1945 minęło blisko sześć lat. Jedno nowe pokolenie w tym okresie dojrzało, zaczęło rozglądać się po świecie i zastanawiać nad przyszłością. Jeżeli o Polskę chodzi, ci młodzi przeszli przez szkołę życia i gorycz doświadczeń, jakich za młodu nie zaznało pokolenie ich rodziców. Jakie są, jakie będą ideały tej młodzieży?

Nie ludźmy się, że znamy odpowiedź na to pytanie. Nie starajmy się, odpowiadając, wykpić jakimś utartym frazesem. Nie tylko młodzi, ale i reszta polskiego społeczeństwa już przeszła, względnie przejdzie jeszcze, głębokie przeobrażenia ideowe, przewartościuje dotychczasowe swe poglądy i przestawi dążenia. Utarte formułki przeszłości nie będą zapewne pasować do tych przemian. Społeczeństwo polskie nie będzie takie, jakie było przed 1939 rokiem, wywrze to olbrzymi wpływ na całość polskiej polityki. Kto z naszych mężów stanu przemian tych nie weźmie pod uwagę, będzie błędził. Dobre chęci go nie wytlomaczą. Nie zamiary w polityce się liczy, lecz osiągnięcia.

Obawy niedocenienia rozmiaru i znaczenia przeobrażeń, zachodzących zresztą w równym stopniu i w innych krajach, winna żywić szczególnie emigracja wojenna. Jej przede wszystkim grozi pozostanie antykwariatem przebrzmiałych haseł, autorytetów i nieaktualnych dążeń. Niewspółmierność warunków, w których my tutaj żyjemy i tych, w których żyją oni w kraju, czy których doświadczają na kontynencie nasi żołnierze, jest zbyt wielka. Polska, którą my tutaj spokojnie pamiętamy

przed 1939 roku, pozostanie pod wieloma względami zupełnie inną, niż ta, o której marzą — przeobrażeni. Jeżeli tętna przeobrażeń wyczuwamy, przywilej spędzania wojny stosunkowo spokojnie przy angielskim kominku może nas drogo kosztować.

DWA OBRAZY

Zawieruchy dziejowe, takie, jak obecna wojna, przyspieszają zmiany czynników nie stałych w życiu każdego narodu. Wprowadzają na światło jednak także elementy stałe.

W roku, który minął, wstrząsnęła uczuciami narodu tragedia Warszawy. Do Londynu doszły fotografie — po walce powstańców. Z fotografii wyjrzały na nas widma znane już z obrazów Grottge-

ra. Czy pamiętacie wśród tych fotografii postać młodzieńca, prowadzonego przez dwóch kolegów, nad miarę strudzonego, ogłuszonego spokojem ustalej bitwy, nieprzytomnego ze zmęczenia? Jakaż siła wykrzesala takie poświęcenie, taką wytrzymałość?

Gdy pokój królował nad światem, nie tylko w kołędzie, do Poznania przyjechała w odwiedziny wycieczka polskich emigrantów z Danii, chłopów. Ciulali rok pieniądze, aby opłacić podróż do Polski. Niemi i oniesmieleni oglądali kościoły, muzea, teatry. Ożyli dopiero, gdy wyprowadzono ich poza opłotki podmiejskiego gospodarstwa. Złoto kłaniało się gościom na polu pszenicznym, część łanów żyta szumiała dojrzałymi kłosami, część zółciła się ścierni-

skiem. Dwóch chłopów podjęło jeden z niezebranych jeszcze snopków i wtuliło w niego z czcią głowy:

— Pachnie, panie, to polskie żyto! — powiedział starszy z nich.

DWA CZYNNIKI STAŁE DUSZY POLSKIEJ

Obrazy Grottgera, fotografie z drugiego raz poddanej Warszawy i chłopów polskie, całujące polskie zboże, to ilustracje do tej samej historii o przywiązaniu do ojczyźnej ziemi i o gotowości poświęceń dla Polski. To jeden element stały, na który może liczyć każdy mąż stanu, kierujący losami narodu. Drugi to niesłychana odporność Polaków.

Gdy przed 1918 rokiem nie było

w warunków dla spokojnego bytu w ojczyźnie, Polak emigrował. Nie szedł na gotową posadę — w Angers czy w Londynie, szedł w świat do Westfalii, do Ameryki, do Brazylii. Szedł? Wieźli go, jak bydło, obcy agenci kompanii okrętowych. Ginał w loskocie fabryk lub w karzowanej puszczy, ale zostawał. W maju 1939 roku oglądali jednego z tych milionów pasażerowie na statku "Batory", w drodze ze Stanów Zjednoczonych. Godzinami stał w ciągu tej podróży przed mapą Polski. Godzinami patrzył na kropkę i napis: Przemysł. Mówił najczystsza polszczyzną, chwalił się, że dzieci jego chcą osiąść znowu w Polsce i że on jedzie im szukać gospodarstwa.

A w tej wojnie losy ludzi w kraju i polskich wędrowników po świecie? Utkane historia żołnierzy, lotników i marynarzy. I zawsze ten sam cel wytrwania oraz wędrowki. I ostatecznie w końcu osiągnięty, choć nie przez jednostki, to jednak zawsze przez masy. Jakby historie biblijnych przypowieści. Historia narodu, który jedyny ma swe "Księgi Pielgrzymstwa", o którym Konopnicka tak prosto powiedziała:

Naród nasz silny jest, dużo

poradzi,
Jak zęby ściśnie i barą podłoży,
Niechaj go tylko moc jasna

prowadzi

Niech się rozwidni cel.

WOBEK PRZEŁOMOWYCH WYDARZEŃ NADCHODZĄCEGO ROKU

Rok 1945 może przynieść datę równie pamiętną, jak dzień 1 września 1939 roku. Bardziej jest to prawdopodobne teraz, niż temu rok, dwa, czy trzy. Przełom nie może nas zastać nieprzygotowanych. Elementy zmienne polityki kierownicy narodu muszą rozważyć z drobiazgowością zegarmistrza. Błąd w ocenie może się pomścić stratami nieodwracalnymi. Wśród elementów tych jest bowiem wiele takich, na które nie mamy żadnego wpływu, bo to one czynią nas zależnymi od innych. W położeniu tym jesteśmy nie tylko my sami, w sytuacji tej są i inni, nawet możniejsi. Zwiększona i zacieśniona współzależność losów narodów jest jednym z ważnych przejawów przełomu, przeżywanego dziś przez świat.

Elementy stałe kładą nam odważnie spotykać przeciwności, bo nie jesteśmy z tych, których diabli szybko biorą. Pamiętajmy zresztą przy ocenie naszych możliwości, że słabną siły, bodaj równomiernie, wszystkie ich wplątanych w zwariowany bieg zdarzeń. Stosunek tych sił jest ten sam, co w chwili zaczęcia wojny. Z tym tylko, że u jednych zaczynają być w pełni wyzyskiwane dopiero teraz, u innych są już na wyczerpaniu, bo gospodarzono nimi lekkomyślnie. Nie jesteśmy zaś sami z tych najsłabszych. Nie jesteśmy!

Była by wartości, którymi my rozporządzamy, nie zostały rozproszone. A tego chce nasz przeciwnik; chce, aby w chwili ostatecznego rozstrzygnięcia wojny Polacy sobie wzajemnie nie ufali, aby dopatrywali się wrogów wśród swoich, aby tonęli w waśniach, aby byli słabi niewyzyskaniem swych możliwości. Czy zdobędziemy się na gest rozumu oraz historycznej dojrzałości i odpowiemy: niedoczekanie wasze?

ODPOWIEDŹ

Nowy rok zaczął się od jeszcze jednej próby falszowania i gwałcenia woli narodu polskiego: t.zw. "Komitet Wyzwolenia Narodowego", przebywający w Lublinie, uznał się za "tymczasowy rząd" polski. Fakt ten nie zaskakuje nikogo. Rok poprzedni przyzwyczaił nas i — doskonale uodpornił na praktyki, urągające elementarnej uczciwości i zdrowemu rozsądkowi.

Każdy, komu normy postępowania przyjęte w cywilizowanym świecie nie są obce, wie, że jest to gra, prowadzona na cudzy rachunek i w cudzym — nie polskim — interesie. Uzurpatorski "rząd" nie opiera się na żadnej żywotnej sile społecznej, nie wyraża niczych pragnień w Polsce, spełnia tylko wolę obcą. Opiera się na zewnętrznej sile fizycznej, nie ma i nie adobędzie nigdy moralnej siły przez swobodnie wypowiedziącą się wolę Polaków.

Żołnierze Polskich Sił Zbrojnych, od pięciu lat stojący wiernie w obozie koalicyj antyniemieckiej,

zaangażowani w tej chwili na trzech frontach walki przeciw niemieckiemu barbarzyńcy: na polskim froncie podziemnym, na froncie południowym i na froncie zachodnim, walczący w powietrzu i na morzu — pragnęliby, aby opinia świata cywilizowanego wiedziała, że czynili to i czynią z woli prawowitych władz Rzeczypospolitej Polskiej. Tylko legalne władze Rzeczypospolitej, tu na obczyźnie i w Kraju, mają prawo wyrażania naszych pragnień i szafowania naszą krwią, której nigdy nie szczędziliśmy. Tylko one mocne są stanowić o naszym losie, jak i o losie całego narodu. Tylko im przysięgaliśmy wierność i posłuszeństwo, tylko im wierności i posłuszeństwa dochowamy.

Dla nas samych samowolny akt, dokonany na części ziemi polskiej, stwarza nakaz tym ściślejszego, tym bardziej świadomego skupienia się przy prawowitym Przedstawicielstwie Polskim. Zamiar na prawa naszego narodu do stanowienia o sobie, do rządze-

nia się według swojej woli i zgodnie ze swoimi interesami — może za sobą pociągnąć wiele jeszcze faktów dokonanych, przeprowadzanych przemocą. Na każdy z nich odpowiedź nasza będzie ta sama. Każdy z nich tym silniej będzie nas skupiał przy znakach narodowych, tym silniej będzie nas zwierniał w woli wytrwania na gruncie prawa, w obronie prawa, w walce o życie jednostkowe i zbiorowe według prawa.

Na ten ciężki okres, w który weszliśmy, my żołnierze mamy jedno pragnienie: aby wszyscy Polacy, gdziekolwiek są, wszyscy bez względu na przynależność partyjną i partykularne punkty widzenia czy interesy — wsparli nas swoją wolą, pełną zgodą, aby nam dali tak ważne w próbie bojowej poczucie, że wszystkie odcińki, wszystkie stanowiska wzdłuż i wzdłuż przenika jedna świadomość, pomnażająca siłę każdego z nas o siłę wszystkich.

ALEKSANDER JANOWSKI



rysował JERZY FACZYŃSKI

D 19/2019/14

JÓZEF WINIEWICZ

KONTROFENSYWA RUNDSTEDA

Ostatnie trzy tygodnie roku 1944 stały pod znakiem kontrofensywy podjętej przez najzdolniejszego generała niemieckiego marsz. von Rundstedta w Ardennach.

Powody, dla których von Rundstedt uderzył, nie są trudne do ustalenia. Wojna na użytek prowadzona w ostatnich czasach na froncie zachodnim, aczkolwiek z pewnością mało przyjemna dla Sojuszników, dla Niemców była na dłuższą metę nie do wytrzymania.

W rezultacie dowództwo niemieckie zdecydowało się uprzężyć uderzenie sojusznicze, wykorzystując fakt, że Eisenhower nie był jeszcze gotów. Jednym słowem, chodziło o zysk na czasie, choćby okupiony dużymi ofiarami; Niemcy z pewnością liczą się, że jeśli opóźnią ofensywę sojuszniczą, to rozdzwici między Aliantami będą się pogłębiać i że wynikające na tym tle zniechęcenie, a także rosnące zmęczenie będą mogły wykorzystać dla osiągnięcia wymarzonego pokoju kompromisowego.

Nie wiadomo jak daleko szły nadzieje niemieckie; jeśli sądzić z tego, co opowiadają jeńcy, to — bardzo daleko. Pomoc na Nowy Rok obiecywano im nawet Paryż! Zresztą bardziej prawdopodobny był inny kierunek, a mianowicie na Liège i Antwerpier, oraz na Sedan, Cambrai, Dunkierkę, gdzie broni się wciąż jeszcze obleżony garnizon niemiecki.

Wypadki nie potoczyły się jednak tak, jak Niemcy się spodziewali. Niewątpliwie nastąpiło przełamanie frontu; był on trzymany słabymi si-

łami i brakowało odwodów, któreby mogły szybko wejść do akcji. Ale marsz w najgroźniejszym kierunku na Liège i Antwerpier został szybko zatrzymany w rejonie Malmedy. Niemcy posuwali się jeszcze szybko na zachód, ku Móz, ale i tu zostali zatrzymani i zmuszeni do odwrotu. Wspaniała obrona Bastogne przez Amerykanów pozbawiła Niemców ważnego ośrodka komunikacyjnego, niezbędnego dla zaopatrywania sił pracujących na zachód.

Pogoda nie dopisała tym razem Niemcom, tak jak poprzednio sprawiła parokrotnie figla Sojusznikom. Rundstedt liczył, że w grudniu mgły i chmury zabezpieczą go przed atakami z powietrza i że w ten sposób najważniejszy czynnik przewagi Sojuszników — panowanie w powietrzu — zostanie neutralizowane. Z początku było tak istotnie; ale niespodziewanie nastąpiło kilka dni wspaniałej pogody zimowej i lotnictwo mogło dokonać ogromnego spustoszenia wśród kolumn nieprzyjaciela niszcząc ok. 5000 pojazdów; wpływ tego na przebieg wydarzeń był bardzo wielki.

W rezultacie w połowie ub. tygodnia ofensywa niemiecka została wszędzie zatrzymana i zarówno na północy, jak i na zachodzie i na południu nieprzyjaciół zaczął tracić zdobyty teren. W szczególności III Armia gen. Pattona odniosła duże sukcesy, atakując południowy bok niemieckiego klina i przychodząc z odsieczki bohaterkiej Dywizji Spadochronowej broniącej Bastogne.

CO DALEJ NA ZACHODZIE?

Niewątpliwie Rundstedt może zapisać na poczet aktywów sporą liczbę jeńców, oraz pewne zdeorganizowanie przygotowanych sojuszniczych. Wydaje się jednak, że wielkie składy nie dostały się w ręce Niemców, tak iż również pod tym względem nadzieje niemieckie nie ziściły się. Natomiast pozycja, w jakiej znalazły się wojska niemieckie nie jest zbyt godna zazdrośczenia. Wprawdzie nie ma jeszcze dostatecznych powodów do mówienia o groźbie powtórzenia się sytuacji spod Falaise, ale możliwości odjęcia pewnych sił niemieckich nie można wykluczyć. Odwrot niemiecki, nawet jeżeli by pogoda utrudniła akcję lotnictwa, nie byłby z pewnością łatwy i kosztowny.

Trudno sobie wyobrazić, żeby

Rundstedt próbował raz jeszcze szczęścia w tym samym miejscu; natomiast trzeba się liczyć z tym, że uderzy w innym miejscu /były pewne wskazówki, że mógłby zaatakować na froncie 2 armii brytyjskiej/. Wydaje się, że posiada jeszcze pewne nieużyte do tej pory rezerwy pancerne; niemniej nowe uderzenie nie byłoby zapewne zakrojone na tę samą skalę co poprzednie. Chodziło by o niewypuszczenie inicjatywy z rąk.

Dowództwo sojusznicze z pewnością będzie się starało wykorzystać ryzykowną bądź co bądź strategię przeciwnika. Kontrofensywa Rundstedta może jeszcze okazać się spełnieniem życzenia Sojuszników, a mianowicie skłonieniem nieprzyjaciela do użycia dużych odwodów na zachód od Renu i wyjścia z umocnień linii Zygfrйда. Istnieje z pewnością możliwość, że jak ofensywa Ludendorffa w marcu 1918 przyspieszyła koniec, tak i teraz ofensywa Rundstedta, jeżeli zakończy się jego klęską, może umożliwić rychłe zadanie Niemcom ostatecznego ciosu.

WE WŁOSZECH I NA WĘGRZECH

Ofensywie Rundstedta towarzyszyła znacznie skromniejsza kontrofensywa Kesselringa na zachodnim odcinku frontu włoskiego. Miała ona charakter wyraźnie dywersyjny i nie wydaje się, by wpłynęła poważnie na przebieg operacji na tym froncie. Niemniej była dodatkowym dowodem, że nieprzyjaciół bijnajmniej nie uważa się za pobitego.

Na froncie rosyjskim wypadki rozwijają się zgodnie z przewidywaniami. Bitwa o Węgry dobiega końca; trwała raczej dłużej, niż się na to zanosiło. Rosjanie nie dotarli jeszcze do nowej linii obronnej, która ostaniam będzie Wiedeń. Walka o Austrię będzie z pewnością bardzo zacięta i nie wydaje się, by mogła przynieść Rosjanom szybkie sukcesy, zwłaszcza, że teren sprzyja obronie.

Na głównym odcinku frontu wschodniego — w Polsce — nadal panuje trwanie od pół roku zastój, ale wielu komentatorów oczekuje wznowienia ofensywy w ciągu bieżącego miesiąca. Bierność Rosjan na tym froncie wywołuje niechętny komentarz zwłaszcza w Ameryce, która — słusznie czy niesłusznie — dopatruje się w niej względów politycznych. Jakkolwiek rzecz ma się w rzeczywistości, uzgodnienie strategii sojuszniczej wydaje się pozostawiać

sporo do życzenia.

WARUNEK ZWYCIEŚTWA

Jeśli zestawiać sytuację na wszystkich frontach, to narzuca się wniosek, że optymizm, przejawiany po drugiego zwycięstwach letnich nie odpowiada dzisiejszej sytuacji, gdy Niemcy zdolały okrępnąć. Wykazały one nadspodziewaną zdolność odnowienia sił i zdecydowaną wolę walki do ostatka. W szczególności kontrofensywa von Rundstedta dowiodła, że siły niemieckie nie są jeszcze wyczerpane i że nie brak im ani doskonałego sprzętu, ani paliwa. Bezwzględność metod — mordowanie jeńców, przebijanie własnych żołnierzy w mundurach amerykańskich i t.d. — wskazuje na to, że Niemcy uznali, iż nie mają nic do stracenia.

Walka z tak fanatycznym przeciwnikiem wymaga bardziej niż kiedykolwiek skocowania wszystkich sił i wyłączenia całej energii. Toteż W. Brytania odpowiedziała na kontrofensywę Rundstedta zapowiedzią dodatkowego wzmocnienia armii przez 250.000 ludzi. W nadchodzących miesiącach każda dodatkowa dywizja mieć będzie swoje wielkie znaczenie. Na tym tle zresztą można przewidzieć, że szybko rosnące Polskie Siły Zbrojne nabrają w roku 1945 dla naszych anglosaskich Sojuszników szczególnej wagi. Będzie to wkład do wysiłku sojuszniczego, którego nie sposób zbatalizować.

Wyłączenia wszystkich sił wymaga także przywrócenie narodom sojuszniczym wiary w to, że wysiłki ich nie pójdą na marne. Słusznie pisał ostatni "Observer" że tylko jedna rzecz może być dla społeczeństwa brytyjskiego natchnieniem i dodawać mu sił w nadchodzących ciężkich miesiącach: "Sprawa, w którą naprawdę wierzymy; ideał, którego nie będziemy się wstydyć; głębokie i niezruszone przekonanie o słuszności naszych celów".

Trudno sobie wyobrazić, by polityka Teheranu, prowadząca do rozbioru Polski, stref wpływów, triumfu siły nad prawem i t.d. mogła odpowiadać tym warunkom. I dlatego już nawet nie w imię zapewnienia trwałego pokoju, lecz także szybkiego wygrania wojny konieczny jest powrót do ideałów Karty Atlantycznej, abyśmy wszyscy, nie tylko Polacy, ale i Amerykanie czy Brytyjczycy, wiedzieli, o co walczymy.

KRYZYS POLITYKI TEHERANSKIEJ

Czy to nastąpi? Ostatnie tygodnie ujawniły istnienie pewnego rodzaju kryzysu moralnego w społeczeństwach anglosaskich. Debaty w parlamencie i w prasie skupiają się wokół zagadnienia polityki zagranicznej. Polityka teherańska znalazła się przy tym wyraźnie pod ostrzałem. Staje się dla ogółu coraz bardziej widoczne, że podział Europy na strefy wpływów prowadzi jedynie do nowej wojny światowej.

Pod tym kątem widzenia rozpatrywana jest sprawa polska i grecka. Wydaje się, że rośnie zrozumienie, iż zalecane przez rządy sowiecki i brytyjski rozwiązanie sprawy granic Polski nie zapewni trwałego pokoju i coraz mocniej wyrażana jest opinia, że W. Brytania i Stany Zjednoczone nie powinny aprobować planowanego pokrzywdzenia Polski.

Z niepokojem też obserwuje opinia wszystkie inne objawy kostnienia sfery wpływów. Utworzenie nowego rządu węgierskiego bez porozumienia z innymi sojusznikami; wywiezienie urządzeń przemysłu naftowego należących do towarzystw brytyjskich i amerykańskich z Rumunii do Rosji; planowane stworzenie rządu austriackiego pod egidą Rosji; niedawne wydalenie Amerykanów z Bułgarii; wreszcie zlikwidowanie baz amerykańskich na terenach kontrolowanych przez Rosję — wszystko to wskazuje, że Rosja nie zgadza się na występowanie Sojuszników w jej "strefie".

Jednocześnie różne wydarzenia stawiają pod znakiem zapytania "strefę" brytyjską. Wprawdzie Rosja zachowuje osobliwe milczenie w sprawie Grecji, ale sama W. Brytania zapowiedziała możliwość przejęcia kontroli Grecji przez trzy mocarstwa, czyli w praktyce zapewne wspólnie przez W. Brytanię i Rosję. Również sojusz francusko-rosyjski wskazuje, że koncepcje Waltera Lippmanna "wspólnoty atlantycznej" i "orbitę rosyjskiej" nie są realne.

Fakty te wykazują jednak jedynie względność teorii "stref wpływów", ale jej nie przekreślają. Przekreślić ją może jedynie porozumienie między mocarstwami, wyrzekające się koncepcji teherańskiej na rzecz wspólnej polityki i wspólnego postępowania w oparciu o te same zasady pozostawienia niezależności i woli narodów kontynentu.

I to jest może najpilniejsze zadanie na rok 1945.

1 stycznia 1945

ALEKSANDER BORAY

Przegląd tygodniowy

Wojna na morzu

Z tygodnia na tydzień

"Krakowiak", "Ślązak", "Burza", "Sokół", "Dzik" i "Wilk", oraz dywizjon ścigaczy, wraz z O.O.R.P. "Conrad" i "Garland", stanowiąca dziś wolną i niepodległą część Polski, której nie dotknął swą stopą i nie dotknęli żaden wróg. Istnienie tych okrętów jest związane ściśle z istnieniem Rzeczypospolitej, jako suwerennego państwa.

U NIEMCÓW

Podobno pancernik niemiecki "Lützow" zderzył się z korałownikiem "Leipzig", przy czym ten ostatni zo-

stał ciężko uszkodzony. Wypadki takie zdarzać się mogą i w najlepszych marynarkach. Tym jednak razem nie jest wykluczona możliwość, że coś się psuć zaczyna w żelaznym porządku admirała Doenitza. W każdym razie nie podniesie to sprawności bojowej okrętów niemieckich, a tym bardziej nie ułatwi położenia Niemców na Bałtyku, gdzie ich ostatnia nadzieja spoczywa we flocie.

W wojnie podwodnej też nie nadzwyczajnego nie zaszło. Ilość zatopionych statków sprzymierzonych była w listopadzie rekordowo mała.

Wprawdzie Churchill ostrzega przed możliwością powrotu piratów, zaopatrzonych w nowe przyrządy taktyczne, ale utraciwszy swoje bazy na brzegach Francji, Niemcy w żadnym wypadku nie będą mogli być tak groźni jak poprzednio. Przemysł ich również zbyt silnie cierpi od bombardowań, aby mógł się zdobyć na intensywną produkcję. Nie bez znaczenia jest i kryzys personelu. Na razie dobrze byłoby, aby resztki Niemców, obleżonych w Lorient, St. Nazaire oraz w ujściu Girony, zostały zlikwidowane, bo choć miejsce-

wości te nie mogą już grać roli baz zasadniczych, to jednak nie jest pożądane, aby niemieckie okręty podwodne mogły utrzymywać z nimi łączność. Komunikat niemiecki doniósł niedawno, że żywe torpedy zniszczyły służy przy wejściu do portu w Antwerpii. Na szczęście wiadomość, jak większość wiadomości tego typu, okazała się gruby przesadzona.

FLOTA BRYTYJSKA PLYNIE NA PACYFIK

Wielka flota brytyjska pod dowództwem admirała Frasera odplynęła na Ocean Spokojny, aby tam wraz z amerykańską, prowadzić operacje przeciwko Japonii. Rzecz sama przez się zrozumiała. Ale wydaje się, że czynnik strategiczny podporządkowano tu zbytnio propagandowo-politycznemu. Bo nie widzimy powodu przedwczesnego ujawniania ruchu tak dużej ilości okrętów brytyjskich i francuskich, które przechodzić musiały lub muszą przez strefy, gdzie nieprzyjaciół może przeciwdziałać różnymi środkami walki.

Tym nie mniej połączone floty amerykańsko-brytyjsko-francuskie stanowiąc będą na Pacyfiku taki element siły, że nawet jakiejś taktycznej zwycięstwo Japończyków na lądzie czy morzu nie zdola już odwrócić szali. Pierwszym skutkiem będzie zagrożenie Indji Holenderskich, Burmy i Singapuru oraz komunikacji na tych wodach. A jeśli zostaną przecięte, to garnizonom japońskim nie tylko na wyspach, lecz i na lądzie stałym grozić będzie klęska. Admirał Fraser, wypływając na Pacyfik, podniósł swą flagę na nadpancerniku "Howe" /35.000 ton, 10 dział 356 m/m/. Ciekawe, że w tym wypadku jawność posunięto może aż nazbyt daleko, bo prasa australijska /a w ślad za nią angielska/ ogłosiła, że baza floty ma być Australia, że pancerniki będą dokowane w Sydney, a lotniskowce w Brisbane. Admirał Mountbatten pozostaje dowódcą sprzymierzonych sił lądowych i morskich w południowo-wschodniej Azji, generał MacArthur na południowo-zachodnim Pacyfiku, a admirał Nimitz na całym obszarze Oceanu Spokojnego. Wynika z tego, że adm. Fraser podlegać będzie adm. Nimitzowi.

JULIAN GINSBERT

POLSKA MARYNARKA WOJENNA

Oficjalny komunikat Kierownictwa Marynarki Wojennej stwierdził stratę O.R.P. "Dragon". Strata, jak wiadomo, już wyrównana przez wstąpienie w służbę Rzeczypospolitej identycznego krażownika — O.R.P. "Conrad". "Dragon" uszkodzony ciężko w czasie akcji wyzwalania Francji, jednak nie zatonął. Został uratowany dzięki wiedzy, sprawności i wysokiemu poczuciu obowiązku dowódcy, oficerów, podoficerów i marynarzy. Wystarczyło popatrzyć na załogę "Dragona" po wypadku, aby przekonać się, że jest to jedna zgrana rodzina, dla której służba Polsce, koleżeństwo i poświęcenie nie są odświętnym frazezem, ale twardą rzeczywistością. Zresztą całą historię "Dragona" znają Czytelnicy z prac pisarskich jego załogi, prac, których bezpośrednio i prawdziwie nie da się zastąpić żadnymi na lądzie skłconymi pochwałami. Co najwyższej wspomnieć tu można słowa jednego z brytyjskich lotników, obserwujących strzelanie okrętu: "Tak skutecznego ognia nie widziałem nigdy w życiu".

Uratowanego "Dragona" osadzono na mieliznie. W następstwie okazało się, że remont się nie opłaca. Zdjęto więc zeń wszystko, co przedstawiało wartość, a sam okręt włączono jako "blockship" do falochronu jednego ze sztucznych portów u brzegów Normandii.

Marynarzom, którzy zginęli na "Dragonie", trwając do ostatka na stanowisku, Kraj winien jest wdzięczność i pamięć. Historia pierwszego polskiego krażownika jest krótka, ale zawiera szereg faktów, którymi nie tylko Marynarka lecz i cała Polska będzie się mogła chlubić.

Nie zmniejszyła się jednak Marynarka nasza w piątym roku wojny. Przeciwnie — większa się stale i nowe zdobywa wawrzyny. Ostatnio O.R.P. "Garland" zakończył chlubnie długi okres działań na wodach włoskich i greckich. Okręt ten posiada dwa rekordy: ćwierć miliona mil morskich przepłyniętych od chwili podniesienia bandery /3 maja 1940/, oraz zmierzenie szlaków morskich od Salonik do Halifaxu i od Szipbergu do Wyspy Wniebowstąpienia.

11 grudnia: Lotnictwo amerykańskie w sile ponad 2.000 bombowców, osłanianych przez 1.200 myśliwców, atakowało za dnia ośrodek komunikacyjny w Niemczech i Austrii. —Wojska sojusznicze w dalszym ciągu toczą zacięte walki wzdłuż rzeki Roer i Saary.

12 grudnia: Marszałek polny H. Alexander i minister rezydent H. Macmillan udali się do Grecji w celu zażegnania walk wewnętrznych.

13 grudnia: I Armia amerykańska atakuje na pd. wsch. od Diiren. —Lotnictwo amerykańskie bombardowało za dnia fabryki w Nagoi, w Japonii.

14 grudnia: Premier Arciszewski wygłosił exposé w Radzie Narodowej. —Ogłoszono, że O.R.P. "Garland" powrócił do Anglii po rocznym pobycie na Atlantyku południowym i Morzu Śródziemnym.

15 grudnia: VII Armia amerykańska przekroczyła granicę niemiecką ustanawiając przyczółek mostowy na rzece Lauter w rejonie Wissemburga w Palatynacie. —Wojska sowieckie zajęły Szahy w Czechosłowacji, na pln. od Budapesztu.

16 grudnia: Wojska niemieckie rozpoczęły silną ofensywę przeciw wojskom amerykańskim, na pd. od Akwizgranu. Wojska niemieckie przekroczyły granicę Belgii i Luksemburgu.

17 grudnia: Stoczono wielką bitwę powietrzną z lotnictwem niemieckim, wspierającym ofensywę na froncie zachodnim. Strącono 97 samolotów niemieckich.

18 grudnia: Wojska niemieckie dotarły do Malmedy i Stavelot. —Oddziały II Korpusu zajęły m. Casette i m. Limisano, leżące między rzekami Sintria i Senio.

19 grudnia: Wojska niemieckie przecięły drogę Liège-Bastogne. —Lotnictwo brytyjskie bombardowało w nocy z 18/19 niemieckie okręty wojenne w Gdyni.

20 grudnia: Wojska amerykańskie odbiły m. Monschau na granicy belgijsko-niemieckiej.

21 grudnia: Opór Sprzymierzonych w rejonie Malmedy wzrasta.

22 grudnia: Wojska niemieckie dotarły do Bastogne i Laroche w Belgii.

23 grudnia: Niemcy dotarli do St. Hubert w Belgii. —Lotnictwo Sprzymierzonych atakowało silnie wojska niemieckie na froncie zachodnim.

24 grudnia: Czołgi niemieckie dotarły do rejonu Rochefort na wsch. od Móz.

25 grudnia: Wojska polskie przekroczyły rzekę Senio we Włoszech. —Premier Churchill i min. Eden przybyli do Aten, aby doprowadzić do porozumienia stronictwa w Grecji.

26 grudnia: Rozpoczęła się bitwa o samo miasto Budapeszt.

27 grudnia: Niemcy ogłosili, że III Armia amerykańska rozpoczęła przeciwuderzenie w Belgii.

28 grudnia: Ogłoszono, że wojska amerykańskie kontratakując od północy wojska niemieckie zajęły Mauhay i Grandmeuil w Belgii.

29 grudnia: Wojska amerykańskie kontratakują Niemców od południa w rejonie paru mil na pln. od Bastogne.

30 grudnia: Wojska amerykańskie atakują Niemców w Rochefort w Belgii oraz od południa.

31 grudnia: Sprzymierzeni odbili Rochefort na wschód od Dinant.

Ostatnia akcja O.R.P. „Dragon”

Na pokładzie O.R.P. „Dragon”
9.VII.44

OKRET STRACIŁ RÓWNO- WAGĘ, A JA HELM

—Co melduje obrona przeciwa-
waryjna okrętu?

—Połączenie zerwane, panie ko-
mandorze — odpowiedziałem nie-
mal automatycznie.

Kręciłem się w gryzącym dymie,
wydobywającym się spod pokładu.
W uszach mi szumiało okropnie,
a swąd palącej się ropy i materia-
łu wybuchowego — dusił w gardle.
Przy tym, ten zapach amoniaku...
Nie mogłem opamiętać się jeszcze
i niezupełnie nawet wiedziałem co
się stało i jak się to wszystko sta-
ło. Okręt przechylał się na lewą
burtę, tworząc z dolnego i górnego
pokładu niebezpieczne pochylnie.
Nie wiedziałem co mam ze sobą ro-
bić. Wyczuwałem podświadomie,
że należy jak najszybciej wynieść
się z tego miejsca, ale...

Gdzieś się podział mój helm?
Szukałem go już czas jakiś i nie
mogłem znaleźć. Gdzieś do diabła
ten cholerny helm? Kręciłem się
w kółko w poszukiwaniu najmniej
potrzebnej w takich wypadkach
rzeczy. Traciłem czas, gdy za
chwilę przyjdzie może skakać za
burtę.

JAK SIĘ TO STAŁO?

Staram się dziś jeszcze przypo-
mnąć sobie jak to się stało i od-
tworzyć przebieg całej sytuacji.
Siedziałem na kawałku pnia na sta-
nowisku zastępcy dowódcy i zna-
lazłem się nagle na odciegach tyl-
nego masztu. Łapiąc się ich in-
stynktownie, zsunąłem się na bla-
chy spardecku. Uratowania kilku
żebier nie zawdzięczam naturalnie
przytomności umysłu, tylko zwy-
ktemu zbiegowi okoliczności i in-
stynktowi samozachowawczemu.

Jak to było? Jak to się wszystko
stało?

Aha... Już wiem... Przypomi-
nam sobie. Siedząc bokiem do
miejsca, którym poszedł wybuch,
kącikami oczu zobaczyłem blask je-
go i usłyszałem huk. Poczuliśmy
pod nogami jakiś chrzęst, jakby trzask
łamanego drzewa, jakiegoś zgrzytu,
obsuwanie się czegoś i ogólne drze-
nie okrętu.

Trwało to tak krótko, tak stra-
szenie krótko, tak... że po pro-
stu nie można tego objaśnić ani cza-
sem, ani nawet wyobrazić. Coś
mnie dmuchnęło po twarzy, lecz to
“coś” było tak mocne, tak gwał-
towne, że spowodowało dotkliwy
ból i ucisk wzdłuż całego ciała.
Czułem, że oblewa mnie jakiś płyn.
Po fizycznym bólu podmuchu —
orzeźwiającej uczucie czegoś chłod-
nego.

Traciłem jednocześnie grunt pod
nogami, lecz czułem, że to nie po-
kład ucieka mi spod nóg, lecz że
sam staję się lekki, uciekam gdzieś
w górę i płynę w powietrzu. Jakiegoś
mocniejszego szarpnięcia głowy...
przeszkoda... jakiś liny... kur-
czowe łapanie się ich, wreszcie ze-
ślizg i lądowanie w pozycji siedzą-
cej.

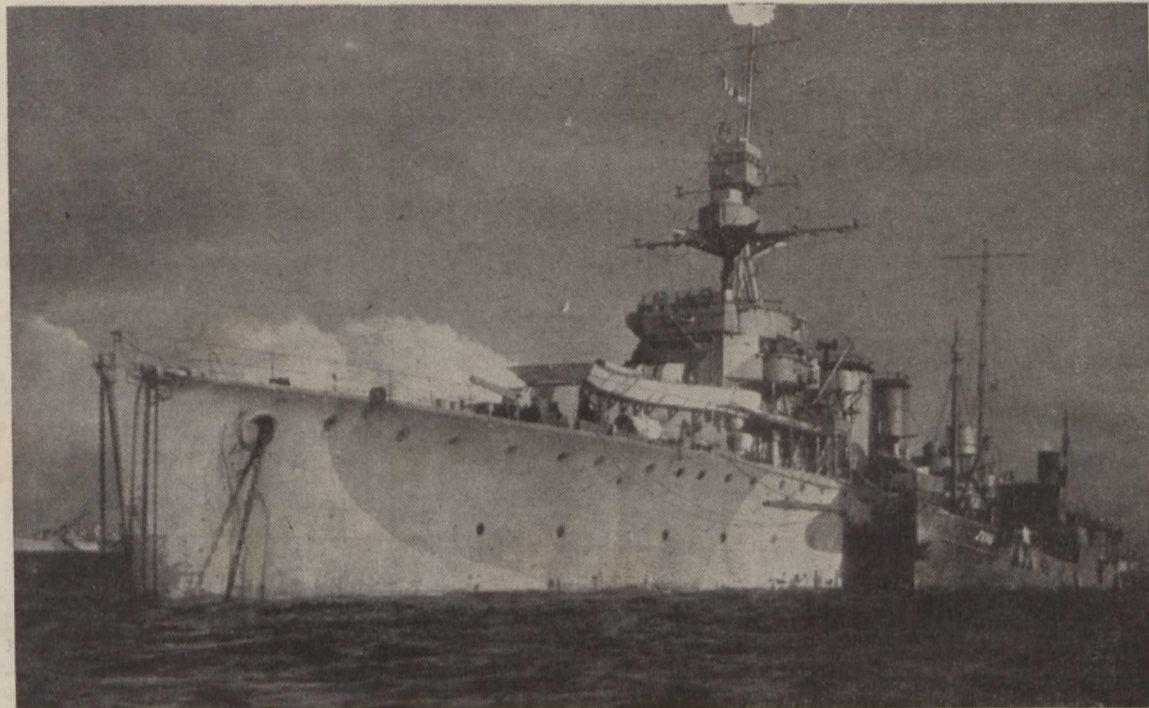
Zerwałem się gwałtownie. Nie
wiedziałem co się stało, lecz zorien-
towałem się, że czegoś mi brakuje.
Aha... Helmu i kominiarki. Tak
... Helmu... Uwaga skupiła się
na tym nic nie znaczącym przed-
miocie. Gdzieś się podział ten
helm? ... Wróciłem po niego na
stanowisko i zawzięcie szukałem
po wszystkich zakamarkach.

Z półświadomości tej wyrwał
mnie głos zastępcy dowódcy pyta-
jący co O.P.A. melduje. Kręci-
łem automatycznie korbką telefonu
i automatycznie odpowiedziałem.
Oprzytomniałem jednak nieco
i dopiero wtedy zorientowałem się
co się stało. Zostaliśmy trafieni.

PIERWSZE WRAŻENIA I PIERWSZE ODRUCHY

Spod pokładu wydobywały się
kłęby dymu i pary. Do uszu do-
chodziły nawoływania i jęki ludz-
kie. Ktoś tam żył ostatnie może
sekundy życia. Myśl o własnym
moim bezpieczeństwie oprzytomni-
ła mnie do reszty. Skoczyłem ze
stanowiska i piorunem znalazłem
się na pokładzie.

Jak długo to wszystko trwało od
czasu wybuchu, trudno mi teraz
powiedzieć. Wiem, że były to se-
kundy, które wtedy wydawać się
musiały wiekami. Biegając w dół
na pokład, uprzytomniłem sobie, że
jestem cały zły ropą. Zrzuciłem
“duffel coat”, zbliżając się jedno-
cześnie do najbliższej tratwy.



O.R.P. „Dragon” — pierwszy krążownik Polskiej Marynarki Wojennej, zastąpiony
przez O.R.P. „Conrad”

Błysnęła mi myśl, czy aby nie
zdjąć butów? /Byłem w ciężkich,
z cholewami, butach pokładowych./
Lecz przebłysk świadomości, że nie
było jeszcze rozkazu opuszczenia
okrętu oraz tak często słyszane
przez nas słowa dowódcy i za-
stępcy dowódcy okrętu, że “kra-
żownik nie tonie tak szybko”, sło-
wa, które przypomniły mi się
w tej chwili — podziały na mnie
hamująco.

AKCJA RATUNKOWA

Na okręcie panował spokój. Zo-
baczyłem zastępcę jak z jakimś
marynarzem nachylał się nad wej-
ściem do maszyn, skąd dochodziły
głosy i jęki. Poza tym wszędzie
panowała cisza.

Dziwiłem się dlaczego jeszcze
nie słydać rozgłosni. Wiem, że
każdy z nas, tak jak i ja, czekał na
głos ludzki. Najmniejsza oznaka
życia, jakiś rozkaz, poderwałby
nas tak, jak głos zastępcy dowód-
cy doprowadził mnie do przyto-
mności. Rozgłosnia musiała być
uszkodzona.

Biegłem w kierunku zastępcy,
a za mną kilku innych marynarzy.
W tej samej chwili, zastępca
wzywał nas do siebie, aby nieść po-
moc kolegom znajdującym się pod
pokładem.

Nareszcie odezwała się rozgło-
śnia. Najpierw szum w gigantofo-
nach, a potem rozkaz:

—Wszyscy z dolnych pomiesz-
czeń na górę.

—Nadmuchać pasy.

Przystanąłem na moment, dmuchając pasy, mimo że zawsze chodziłem z napół nadmuchiwanym. Za mną zatrzymali się i inni. Wreszcie skoczyliśmy na miejsce, gdzie stał zastępca.

Ciemne, pełne dymu — niesamo-
wicie groźnie wyglądało miejsce,
w którym podmuch wyrwał sobie
korytarze i zrobil ujście. Wyjście
z maszyn zostało zatarasowane po-
łamanym żelazem i blachami. Nad-
biegł oficer mechanik, porucznik
Kubicki, przybył bosman Karnow-
ski. Zaczęliśmy odwać kawały
połamanego żelazstwa, aby dostać
się do wnętrza, z którego dochodziły
głosy. Przez utworzoną wyrwę,
spuszczono linę, lecz zatrzymała
się na jakiejś przeszkodzie. Wy-

ciągnięta do góry, cała była un-
urzana w ropie. Dolne więc kondy-
gnacje okrętu zostały zalane nie-
mal do samego pokładu. Okręt
przechylał się coraz bardziej.

Przeszedłem na lewą burtę okrę-
tu i przeraziłem się. Na lewą po-
ręcz patrzyłem z wysoka. W pew-
nym momencie zjechałem jak na
nartach w kierunku spadku i za-
trzymałem się w połowie pokładu.
Kilku ludzi, nie wiem nawet kto,
pochyliło się nad leżącym na po-
kładzie, prawdopodobnie rannym
marynarzem. Pośpiesznie wróci-
łem na prawą burtę.

Spod pokładu dochodziły jeszcze
głosy, lecz cichły z każdą chwilą.
Od czasu do czasu dochodził jesz-
cze rozpaczliwy jęk, lecz potem
słabił, słabił, słabił.

“Dragon” przechylał się coraz
bardziej, a przechylając się, obni-
żał rufę.

W dalszym ciągu usuwaliśmy
zwaliska i kawały żelaza. Na ok-
ręcie panował spokój. Ani cienia paniki,
najmniejszego objawu zamieszania.
Artylerzyści i oerlikoniści na
stanowiskach tak, jak przed wybu-
chem. Drużyny O.P.A. i inni, nie-
zatrudnieni w artylerii oraz ma-
szyniści, usuwają złom, wyrzuca-
ją za burtę kawały drzewa, które
spadły na pokład i utrudniały por-
uszanie się.

WALKA O ŻYCIE OKRĘTU

“Dragon” przechylił się jeszcze
bardziej.

Lecz nie tak łatwo zatopić mo-
carza. Można go zranić, nawet
śmiertelnie, lecz mocy jaką pośia-
da, nie można odebrać tak — na-
tychmiast.

Cała załoga rozumiała wtedy,
że nie możemy dopuścić do zatopie-
nia naszego jedynego krążownika.
Gdyby chociaż zatonął i skrył się
w głębinach, ale może osiąść rufą
na dnie, a dziobem i masztami
“sterczać”, jak na urągawisko pol-
skiej marynarce, polskiej bande-
rze, CAŁEJ POLSCE. Przejedza-
jący marynarze będą wyjaśniać:
“That's a Polish cruiser”, a nie-
miecka propaganda zarzuca Pol-
skim ułotkami z fotografią jedynego pol-
skiego krążownika “WRAKA”. Za
wszelką cenę nie można do tego do-
puścić.

—Zatopić komorę trzy — ode-
zwał się głos z pomostu.

Niebezpieczeństwo pożaru,
a związana z tym obawa wybuchu
komór amunicyjnych nie minęły,
mimo, że para z popekanych prze-
wodów odcięła dostęp powietrza
i stłumiła pożar jak automatyczną
gaśnicą.

—Rozbroić bomby głębinowe
i wyrzucić je za burtę — padł na-
stępny rozkaz.

Torpedominerzy rzucili się do
rozbrajania bomb i za chwilę rufa
została odciążona.

—Przenieść pociski artyleryj-
skie na prawą burtę — słydać
głos rozgłosni.

—Skierować działa na prawą
burtę i obniżyć wyloty luf.

—Wyrzucić ciężkie przedmioty
do wody i odciążyć lewą burtę —
grzmi rozgłosnia.

—Przejść wszyscy na prawą
burtę — pada dalszy rozkaz.

—Spuścić kuter, motorówkę
i łodzie wiosłowe na wodę.

Grupki marynarzy wykonywały
rozkazy bez oglądania się, bez
szmeru. Ze spokojem, rozwagą,
jak gdyby były to ćwiczenia.

Porucznik Kubicki dwójlił się
i troił, kierując pracami ratowni-
czymi. Unurzany w ropie, z elek-
tryczną latarką ratowniczą na głowie,
już nie wiem który raz wcho-
dził pod pokład sprawdzając wy-
trzymałość grodzi wodoszczelnych,
sprawdzając przechyły i zanurza-
nie się rufy. Kierował akcją rato-
wania okrętu i ratowania maryna-
rzy.

“NIEBEZPIECZENSTWO MINEŁO”

Z lewej burty już nowa drużyna
niosła pomoc ludziom odciętem pod
pokładem. Gdzie zachodziła obawa
nowego niebezpieczeństwa, tam po-
rucznik Kubicki szedł pierwszy,
tam jego krótkie, jasne rozka-
zy dodawały sił marynarzom.
Był przy tym spokojny, opanowa-
ny, wszystko wiedzący i prze-
widujący. Kawał granitu bez
nerwów i najmniejszej myśli
o sobie i własnym bezpieczeństwie.
Ratował okręt, a z nim imię Pol-
skiej Bandery. Informował ciągle
pomost o postępujących pracach.
Pamiętał o wszystkim.

Głosy pod pokładem ucichły
w tej części okrętu. Na nic nie
zdała się niesiona im pomoc. U-
cichło wszystko, a ci, którzy tam
byli — ucichli na wieki.

Z lewej burty marynarz Malań-
czyk już szósty raz szedł pod po-
kład przez szparę powstałą na
skutek pęknięcia pokładu i już szó-
stego marynarza wyciągał tą dro-
gą. Starszy marynarz Klaja, kino-
operator okrętowy, szedł z nim do
pomocy. Brodząc po szyję w ropie,
czolgając się po poprzerywanych
i pokreślonych przewodach, naraża-
jąc się na zatrucie gazami, lub
przyciśnięcie przez kawał wolno
zwisającego żelaza — obwiązywali
liną przyczepionych kurczowo
i napół przytomnych marynarzy
i wyciągali w kierunku szpary,
gdzie odbierał ich już inni, stoją-
cy tam koledzy i lekarz. Jednego
jednak nie można już było wycią-
gnąć. Leżał przyciśnięty prze-
wodem i choć przytomny był jesz-
cze, prosił aby go zostawić, gdyż
trzeba by było odciąć nogi. Klaja
zrobił mu tylko zastrzyk, aby nie
czuł tak okropnego bólu.

Przechył zaczął się powoli
zmniejszać i okręt wyprostowywał
się do normalnego położenia, z ru-
fą jednak zanurzoną w sposób
zastraszający.

—Niebezpieczeństwo minęło.
Dalej zachować spokój. Zająć się
kolegami i rannymi — ogłasza
rozgłosnia.

Niebezpieczeństwo minęło. Nie-
bezpieczeństwo minęło. West-
chnienie ulgi wydobyło się z na-
szych piersi. Więc jednak istniało.
Byliśmy blisko zatonięcia. Byliśmy
blisko utraty okrętu. Jeszcze raz
każdy westchnął z ulgą i pozwolił
na odprężenie napiętych nerwów.

Odnoszono rannych na Izbę Cho-
rych, gdzie lekarze już przed tym
ratowali od śmierci ciężko pokale-
czonych ludzi, zestawiali połamane
nogi, zsywali. Tam nikt nie pa-
miewał o własnym bezpieczeństwie.
Tam pracowali ludzie, którzy po-
święcili się dla nieszcześliwych.

Z krążownika stojącego niedale-
ko nas odezwały się strzały oerli-
konowe. Czerwone pociski odbijały
się od wody i sprawiając wraże-
nie wolno unoszących się pilek —
ginęły w oddali.

OSTATNIA DROGA

Słońce już wschodziło. Do burty
dobięła pierwsza pomoc w postaci
korwety.

—Can I help you?

Naturalnie help i to natych-
miast. Weź na hol, odciągnij od
tego miejsca, bo zaraz zaczną pa-
dać pociski niemieckiej artylerii.
Amerykańskie kutry dobieły do
burt, aby w razie potrzeby nieść
pomoc ludziom. Kotwica — druga
kotwica w czasie działań u wybrze-
ży Normandii została na dnie.

Zaczął się holowanie. Powoli,
niezdarne lecz stale, oddalaliśmy
się od miejsca, które mogło stać się
naszym grobem.

—Wawrzyn — żyjesz?
—Józek, jak się czujesz?
—Coś taki blade, aż zielony? —
zapytano mnie z kolei.

Pytający jednak nie błyszczał
zdrowszymi niż moje — kolorami
twarzy. Przynębienie malowało
się na wszystkich. Nasz jedyny
krążownik. Duża strata. Kilku-
dziesięciu kolegów, a nas co raz
mniej. Szczurbi nas wojna.

Lecz nie straciliśmy okrętu. Zo-
stał uszkodzony, to prawda. Może
nawet admiralicja odstąpić od re-
perowania go, może nam dać inny
krążownik, może... Zresztą, nie
wiem co zrobi admiralicja. Grunt,
że okręt nie zatonął, że na nim je-
steśmy, że pływa, że bandera na-
dal nad nim powiewa, że
“DRAGON” NADAL ISTNIE-
JE.

W parę dni później

Była to jednak ostatnia akcja
“Dragon”. Część załogi opuszcza
okręt. Ładujemy się na barki.
Sygnal “Baczność” i odpływający
żegnają stary, wierny okręt, który
choć krótki czas był w naszych ręk-
kach, jednak nie przyniósł ujmę,
ani wstydu polskiej marynarce
wojennej.

Zegnaj “Dragonie!” Nie zginię
pamięć po Tobie, jak również
nie zginię pamięć i po tych, którzy
polegli w przedziatach Twoich ma-
szyn, w komorze amunicyjnej
i przy działach Numer TRZY. Ze-
gnaj!

“ACHTUNG!”

“Achtung, achtung, polnische soldaten!”
Słowo strachem zamiera na wargach,
Tupot nóg. Krótka seria. I “achtung...”
Rozpaczliwe. Żalostne. Jak skarga.

“Achtung, achtung! Już idą. Są blisko.
Jakaż siła przez zapory ich niesie?!”
“Haende hoch!”. Zrozumiecie jest wszystko.
To Polacy biorą odwet za Wrzesień.

Przerażony, skułony “Naród Panów”
Już spokorniał. Już błaga i jęczy,
Jakby Polski nie widział w obozach,
Jakby nigdy nikogo nie dręczył.

Barbarzyńcy spuszczeni ze smyczy — —
Barbarzyńcy pełni chamstwa i buty — —
Teraz dla was barak i przecz! — —
Teraz dla was kolczaste druty!

Achtung! Słyszysz? Rzucaj karabin!
Błysk bagnietów to przykry widok —
Wylaż z bunkra! Ręce na głowę!
Achtung! Słyszysz? Polacy idą!

Achtung Niemcy! Rachunek jest krwawy,
Zaczynamy dziś krwawą zapłatę.
Aż usłyszą ruiny Warszawy —
“Achtung, achtung! Polnische soldaten!”

Polonusy w Burmie

(Korespondencja własna "Polski Walczącej")

O dziesiątej rano, mając za sobą całonocny marsz, czoło kolumny poczęło się zbliżać do linii grzbietu pierwszego pasma wzgórz Arakańskich. Ścieżka, jakby zmęczona ciągłymi zakosami, biegła teraz idealnie prostą, prawie pionową linią ku przelęczy, a czarno-zielone pionki wspinającej się kolumny, zdawały się cudem tylko przylegać do jej powierzchni. Na wąskim grzbiecie, w postrzępionym cieniu rzadkich bambusów, plutony i kompanie czarnych, spoconych ciał próbuje złapać oddech. Góry, to nowość dla muskularnych nóg czarnych żołnierzy — nowość, jak tyle innych zdarzeń i krajobrazów, spiętrzonych w tych dziesięciu miesiącach, odkąd brzegi ich rodzinnej Gambii zniknęły za rufą okrętu.

Sedzę na skrzynce amunicji, która przywędrowała tu na wienistej gwiecie czarnego *carrier'a* /tragarza/, jak wszystko co mamy za sobą — i patrzę na rudą szachownicę pół ryżowych, płaską, bez kresu, przeciętą lukiem rdzawej rzeki. Drgając w słońcu horyzont ziewa się w jedną całość z sinym pasem morza. To Indie — akraj wschodniego Bengal, który zostawiliśmy za sobą. A przed nami leży inny, jeszcze wspanialszy kraj — tak piękny i dziki, że nasz krótki oddech jeszcze krótszy się staje. Kraj blade-zielonych wzgórz, pokrytych zbitą dzunglą, głębokich, niemal czarnych wązów, kraj potężnych rzek i szybkich, hłaśliwych potoków o wodach zimnych i pienistych jak szampan. To Burma.

Zwolna podnoszą się głowy. Europejczycy wyciągają lornetki i mapy, murzyni zaczynają gwarzyć po g.osem, cmokają zniecierliwie z podziwu, patrząc na pasma wzgórz, co piętrzą się i odcinają wyraźnie żywym odcieniem zieleni. Najdalsza, piąta linia, jest prawie błękitna. Kapral Sunkaru, który siedzi najbliżej mnie, jest młeczący i zaparty, a gdy go pytam, co też to będzie do opowiadania, kiedy powróci do Gambii — Sunkaru kręci głowę i poważnym głosem mówi:

— *No Sah, I no go say nothing. This be all past talking /Nie, nic nie będę opowiadał. To wszystko jest ponad możność opowiedzenia./*

Przejdź tych pięć łańcuchów Arakan Hill Tracts, ciągnących się z północy na południe po osi marszu zachód-wschód nie byłoby może wielką sztuką, jeśli się zwąży kolosalną wytrzymałość czarnego żołnierza. Przejdź te łańcuchy — ponad 2000 stóp każdy — całą dywizją, niosąc wszystko na głowach *carrier'ów* z radiostacjami dalekiego zasięgu i trzy-ciałowymi moździerzami włącznie — to już chyba sztuka. Ale to nie było jeszcze wszystko; za nami, na ryżowych polach Bengal, czekały długie kolumny *jeep'ów* najeżone potężnego kalibru działami, pełne śmiejących się pysków nigeryjskich kanonierów ze Złotego Wybrzeża. To dywizyjna zmotoryzowana artyleria czekała, by jej otworować drogę, miała się zjawić razem z piechotą na odsłoniętym północnym skrzydle arakańskiego frontu — w dolinie górnego Kaladanu.

Czegóż się nie robi dla artylerii? Bataliony i kompanie rozciągnęły się na 70 milach wyczonej przez saperów trasy — każdy oddział dostał odcinek, narzędzia i wybudował w parę godzin biwak bambusowych szalasów. Czołowe oddziały, zaciągnięty od wschodu ochronną sieć patroli i Dywizja zaczęła kopać. Ciężkiemu gęstą, bambusową dzunglę, kruszyliśmy oskardami niemal pionowe zbocza, aż dziewięciostopowa żółta wstążka drogi poczęła się rozwijać na wzgórzach fantastycznymi wężrzutami. Drużyny brukowały głazami łożyska nieprzeliczonych strumieni — bo o budowie mostów nie było nawet mowy, jak i o gładzeniu nawierzchni.

Zaczęliśmy pracę w połowie grudnia 1943 r. nie bardzo wierząc, że skończymy ją w ramach miesiąca. Ale już po pierwszych dniach termin ukończenia drogi brzmiał bardzo niedwuznacznie: cztery tygodnie! Dzień pracy wydłużył się od świtu do zmroku; Bożego Narodzenia nie zauważyliśmy nawet w kalejdoskopie męczących dni i zimnych nocy bez światła i ognia w biwakach. Około Nowego Roku, który spotykaliśmy zwinęci w koce, szcękając zębami z zimna i braku alkoholu — nasza droga łączyła się już w jedną wyraźną całość pomiędzy rozrzuconymi

biwakami. A w tydzień później najtrudniejszy odcinek — 2300 stóp spadku na niecałej mili — który opierał się jeszcze pięciopięciurutowej serpenlinie, kończyliśmy w nieprawdopodobnym już pośpiechu.

Byliśmy bardzo dumni z naszej drogi choć nie wiedzieliśmy jeszcze czy nawet najbardziej samobójczo nastrojony *sofer jeep'u* potrafi nią przejechać. Murzyni kręcili głowami z podziwu i niedowierzaniem, patrząc na dzieło swych rąk. Ale nie było czasu na podziwianie naszych wyczynów. Gdy tylko złożyliśmy szpadle i oskardy trzeba było ruszać na wschód, pnać się po pasmach wzgórz Arakańskich, gładząc nawierzchnię naszej drogi tysiącami maszerujących bezszelestnie stóp. Na jednej z najtrudniejszych przelęczy, gdzie pracowali czarni z Sierra Leone, ktoś — kto przechodził przed nami — wydrapał na skale lakoniczny napis: *"Is your journey really necessary?"*

Jeszcze jeden dzień marszu, jeszcze jeden łańcuch wzgórz i u naszych stóp zabysł Kaladan — leniwy, błękitny jak Niemen — wijący się w szmaragdowej, usianej wioskami dolinie. Przeszliśmy go w bród i rozbijając biwak na wysokim brzegu, zakończyliśmy przybyciem naszego batalionu koncentrację brygady czołowej. Byliśmy nieprawdopodobnie zmęczeni; nawet murzynom kleiły się oczy nad wieczorową racją ryżu i *bully beefu*. Ktoś czytał na głos ostatnie raporty, mówiące o japońskich oddziałach 12 mil na południe od nas.

Na godzinę przed zmrokiem — ściśle co do dnia — siwy od kurzu, roześmiany gambijski *sofer*, wyłączył zasapany motor *jeepu* na brzegu rzeki. *Horda "czarnych braci"* była brawo, ktoś wołał w podnieceniu: *"Hurray — first jeep to Kaladan"*. Byliśmy zbyt zmęczeni by celebrować — spaliliśmy jak zabici.

— *"Right. Jeśli nie macie pytań to dobranoc. Tylko umowy się: dla dobra jutrzejszego "ćwiczenia" zakładamy, że Japończycy są w Muragi na pewniaka. Nastrójcie odpowiednio murzynów — to ich debiut"*

Jekyll, Ham i Bill — moi doświadczeni plutony — pośpiesznie składają mapy, bo zmrok zapada szybko, a muszą jeszcze odprawić plutony i sprawdzić zaciągnięte warty. Reszta odprawy idzie już po polsku: ustalę z moim zastępcą Januszem, gdzie zatrzymać sekcję dowodzenia z sygnalistami i *carrier'ami* i przyrzekam Wiesławiowi Bul, że będę wołał o ogień jego trzy-ciałowych moździerzy, jeśli się tylko znajdzie jakiś przyzwoity cel.

Gdy zasypiamy — opuszczona przez mieszkańców wioska, w której kwaterujemy jest tak cicha, iż trudno uwierzyć, że stoi w niej ponad 250 czarnego, hłaśliwego zawycząją wojska.

Pierwszym zadaniem było zajęcie Paletwy — administracyjnego centrum górnego Kaladanu — 25 mil na południe od nas. Wiodły do niej trzy drogi: wzdłuż Kaladanu, którą dostali Nigeryjczycy i dwoma bocznymi dolinami przydzielonymi Gambii. Nasz pułkownik zdecydował użyć gros batalionu po lewo-skrydłowej osi, oddając wąską, środkową dolinę rzeczki Mili mojej detaszowanej kompanii. Wywiad mówił o japońskich umocnieniach zamykających wszystkie trzy drogi. W Muragi, na mojej osi miał być rzekomo dobrze okopany pluton.

O wschodzie słońca patrzyliśmy z szefem kompanii z wysokiej skarpy wioski, jak wąskie kolumnki sekcji ruszały w idealnych — jak na mustrze luźnej — odstępach na dwunasto-milowy marsz zbliżania. Jekyll, prowadząc czołowy pluton, powiewał do nas wesole rozwiniętą mapą. Oliwkowe *battle-dressy* zlewały się z gęstą dzunglą, nikt nie zakreślił ścieżki w wąskiej gardzieli dolinki.

Oskar, który więcej niż dwa lata przelewał razem ze mną pot kropli w tej samej kompanii i każdą uncję swego *Grenadier Guards* fasonu i treningu wbił cierpliwie a energicznie w wiel-

ste głowy "czarnych braci" — kręcił woskowanego wąsa i mruczył coś pod nosem. I uśmiechamy się do siebie tą samą, niewypowiedzianą myślą: *"Nareszcie!"*

Trzeba ruszać.

Około czwartej popołudniu, gdy zgodnie z niedokładną mapą wycopiliśmy co najmniej jedenaścim mil ciężkiej, biegnącej łożyskiem strumienia ścieżki, goniec ze szpiccy zameldował, że czołowa sekcja trafiła na bambusowe zasieki około 400 jardów od Muragi, przez które Jekyll przeszedł z patrolem. Ale npla — ani śladu.

Przyśpieszamy tempo marszu. Dolina rozszerza się nieco a małe kwadraty wyciętej pod uprawę dzungli wskazują, że wioska musi być już blisko. Napięcie rośnie — nawet szepot nie słychać wzdłuż kolumny, a bose czarne stopy suną naprzód bezszelestnie lekkim, niemal tanczącym krokiem.

I nagle gdzieś blisko zakrętem, rozśpiewały się wysokim, czystym tonem nieprzyjacielskie karabiny maszynowe. Nareszcie! Sgt. Theo, z dwoma sekcjami plutonu Jekylla czekał na czas na linii zasieku, zamykającego wyostrożonymi jak stal bambusowymi pikami, dowcipnie splątanymi — nie tylko ścieżki i dno doliny, ale również prawe zbocze. Jekyll z patrolem przeciął solidną wyrwę w zasieku, obszedł ostatni zakręt dolinki i z wysokości trawy mógł już obserwować wymarłe na pozór Muragi. Dzieliło go od niej ze sto jardów otwartego terenu, płytki, kamienisty potok i wysoka szkarpa. Na jej skraju: wśród drzew i kęp bananów, stały pierwsze *Bashe* /bambusowe domki na palach/ wioski. W tym miejscu, gdy szperacze wynurzili się z traw, Japończycy otworzyli ogień.

Gdy podczołgałem się do Jekylla, kule gwizdały wysoko ponad głowami. Sekcja przywarła do fałdy terenu dającej niezłą ochronę i odpowiadała rzadkimi tylko strzałami strzelca wyborowego Samby, który wypatrzył nieprzyjacielskiego *sniper'a* na drzewie. Jekyll — podniecony i uśmiechnięty — klnie, bo ani rusz nie więcej zaobserwować nie można. Japończycy muszą być dobrze okopani na szkarpie i tkwić głęboko, ale też za to ich ogień od pierwszej chwili jest niecelny: poza praestrzelonym murzynskim kapeluszem, sekcja nie ma strat.

Tymczasem zgodnie z poprzednimi rozkazami Sgt. Theo ubezpieczył drużyną prawe skrzydło, gdzie zresztą wyjątkowo zbita dzungla i zasięg uniemożliwiali obejście, a Bill z plutonem ruszył wysoko lewym stokiem z zadaniem wyminięcia wioski i zamknięcia doliny za plecami nieprzyjaciela. Ham z rezerwowym plutonem wyciągnął Breny na pozycję na stoku i ubezpieczył moździerzem.

Gdy wróciłem od Jekylla, Bul miał już gotowe do strzału i wiercił się niecierpliwie na wysokim drzewie. Zaczęła się teraz walka z czasem i dzunglą, bo było już po piątę, a Bill z trudem tylko posuwał się naprzód w splątanej, bambusowej dzungli. Mogliśmy obserwować jego postępy po chwianiu się pasma zieleni na stoku, równie dobrze jak nieprzyjaciel z wioski — bo Jekyll znalazł wreszcie cel dla swego Breny, gdy japońska sekcja próbowała ruszyć z Muragi na przecięcie Billowi drogi. My, czekając biernie z zegarkami w ręku mieliśmy chwilę emocji, gdy dwuciałowy moździerz otworzył na nas ogień pół tuzinem niecelnych pocisków.

O szóstej — Bill szamotał się jeszcze z dzunglą, zrobiwszy zaledwie połowę drogi pod lekkim obstrzałem z wioski, a zmrok zapadał szybko. Nie mogąc ryzykować nocnej akcji, z zalem zrezygnowałem z całkowitego obejścia i dałem umowny sygnał.

Bul — sprawnie jak na strzelnicę — sprawdził cel dymnym pociskiem i otworzył ogień z moździerzy, zaterkotały Breny Hama, a przez lornetkę widziałem wyraźnie jak pluton Billa zakreślił w dół stoku do flankowego ataku. Ale Jekyll nie czekał. Z ostatnim trzy-ciałowym po-

ciskiem moździerzy, w szybko rednącym ogniu nieprzyjaciela rwał ze swą drużyną na szkarpe wioski. I gdy z rezerwowym plutonem wypadliśmy na otwarty teren przed Muragi, murzyni Jekylla byli już w pośpiesznie opuszczonych okopach i skacząc przez leje bomb naszych moździerzy ginęli mi z oczu wśród *Bash* wioski.

W parę minut potem, ze środka cudownie zamaskowanych pozycji, gdzie Jekyll odprawiał pościgowy patrol a murzyni, nieprzejęci swym debiutem, objadali się gorącym ryżem ze strzaskaney japońskiej kuchni, wystrzeliłem w ciemniejące niebo dwie zielone rakie-ty — sygnał sukcesu.

W trzy dni później dołączyliśmy do batalionu pod Paletwą. Nigeryjczycy byli już w miasteczku, pozostając w kontakcie z nieprzyjacielem, który wycofał się kilka mil na południe, na mocne pozycje na wzgórzach. Nasz batalion miał w przeddzień ciężką rozprawę na gorąco broniowych umocnieniach japońskich na swej osi marszu; były pierwsze straty w Europejczykach. Nigeryjczycy też już przeszli ogniozą chrzest, nim zajęli przegładającą się w Kaladanie, malowniczo ukrytą wśród wzgórz i zieleni Paletwę. Ale my, mieliśmy satysfakcję być pierwszą kompanią w ogniu i z dumą nosiliśmy japoński moździerz, zdobyty wraz z amunicją w Muragi. Co więcej — w nocnym epilogu tej pierwszej walki, wieczerze *"Japsy"* wpadły w otwarte ramiona nigeryjskiego patrolu kontaktowego — *"We see 'em — we kill 'em"* — raportował później rzeczowo nigeryjski sierżant — a Bul, idąc w dzień późniejszy spacerem do biwaku, zebrał wraz z niewierzącym swym oczom Szkotem dwóch zagonionych niemal na śmierć Japończyków. C. pierwsi jeńcy, którzy wynurzili się z dzungli z podniesionymi rękami, nie tylko podkopali mit "Harakiri", ale również potwierdzili liczbę poniesionych strat i zaboronny strach przed "czarnymi ludzercami".

Nasze gambijskie murzyniaki nie zdradzały żadnych emocji w obliczu tych wszystkich nowych *"White Men's palaver"*. Nie mieliśmy już żadnych wątpliwości, że mamy w ręku żołnierza, co może łatwo przerósł markę swych kuzy-nów — francuskich Strzelców Senegalskich z poprzedniej Wielkiej Wojny. Tygodnie ciężkiej pracy przy budowie drogi, marsze i pierwsze dni operacji nie wycisnęły na czarnych, uśmiechniętych twarzach śladów zmęczenia. Ich jedyną troską były skurczone plecaki, w których pięciopięcioro racje zmalały już do zera. A magazyn żywnościowy sierżanta-kwatermistrza Jock'a, to już wspomnienie dawnych dni.

To też sierżant Seku, pikietujący płaskie półko ryżowe, gorąckowo czyszczone i wyglądzone przez *carrier'ów* brygady zdecydował, że trzeba pocieszyć czarnych braci i poczyścić, co też to za *palaver* wymyślił biali w trosce o puste żołądki. Seku — z 14 latami służby w wojsku i wyjątkową jak na murzyńską inteligencją — jest wyrocznie dla młodych buszmenów.

— Racje kończą się dzisiaj — no so? *Right*, rezerwy nie ma, bo kto by ją niósł, nawet rezerwowej amunicji niesiemy tylko *small*, *small!* —

— *Yes Sah* — mruczą czarne lepetyny, nie wiedząc jeszcze, co to ma wspólnego z zapelnieniem najważniejszej części murzynskiej anatomii — *belly /brzucha/*. —

— *Well Savvy* samolot? *Plenty*, *plenty* samolotów przyleci. Nie będą rzucać bomb, tylko żywność, amunicję, pocztę. Wszystko co trzeba. *See?* — peroruje Seku.

— *Yes Sah, we go look 'em — we go see 'em* — odpowiada trochę niedowierząco murzyniaki, ale właśnie, jak na zawołanie, sznur ciężkich, pekatych transportowców zniża lot nad wskazanym rakietami ryżowym półkiem.

Z otwartych drzwi wałą się w dół podłużne paki z pióropusząmi otwierających się spadochronów. Transportowcy — natychmiast ochrzczone przez murzynów *"Bullybeef bombers"* — krążą nisko, podchodząc raz po raz do zru-

tu, eskortujące myśliwce wirują w spiralach a półko ryżowe zaściela się spadochronami we wszystkich kolorach tęczy bo barwa wskazuje co dany spadochron niesie.

W pół godziny później, gdy sierżant Seku ścigał swe pikieoty, brygada była zaopatrzona we wszystko co było potrzebne na parę następnych dni. Była nawet poczta w lakonicznie zaadresowanym worku i ten najbardziej oczekiwany, długi list od Ciebie.

Wiele było podziwu i cmokania tego wieczora wśród czarnej rzęsy, ale jeszcze więcej kręcili głowami już nie tylko "czarni", ale i "biali", gdy nazajutrz sanitarna awionetki, lądując i startując na tym samym maleńkim półku wśród wzgórz, z rozmachem godnym lotniska na Okęciu, zabrały naszych rannych do luksusowych szpitali daleko za frontem.

Był to początek stałej współpracy z R.A.F.'em, bo nasze operacje *à la* Wingate oparte były na zaopatrzeniu i ewakuacji rannych wyłącznie drogą powietrzną. R.A.F. nie zawiodł nas nigdy i przez całą kampanię okazał się najlepszym, niestrudzonym przyjacielem.

Na wzgórzach nad Paletwą dwudniowa bitwa Nigeryjczyków zamiera powoli. Błękitny Kaladan u stóp naszego biwaku ciemnieje w zapadającym zmierzchu. Bill i Ham wrócili właśnie z patrolu i całonocna troska o białych i czarnych braci przemienia się w wesołą *"party"* nad siedemnastym tego dnia imbrykiem herbaty. Herbata, to specjalność naszej kompanii: specjalny *boy* od świtu do nocy ją gotuje, specjalnie większe racje z dostaw wycygnia kwatermistrz — i nawet pod ogniem nasz *tea-room* zawsze funkcjonował. A gdy, pod koniec kampanii japoński pocisk rozbił nasz wysłuszony imbryk /pewno w rewanżu za tę kuchnię w Muragi/ "załamaliśmy się moralnie" na dwa dni, za nim dowództwo batalionu nie przydzieliło nam kociołka z mesy pułkownika.

Czarna plachta nocy tłuści śmiech i rozmowy, gasi ognie biwaku. Dziwne są te burmijskie noce w dzungli. Od zmierzchu dzikie kury i pawie pieją i nawołują się po stokach, stwarzając wrażenie, że to patrole nieprzyjaciela wymieniają umówione sygnały.

Ogromne, nocne ptaszyska łopoczą w ciemniejszej dzungli, a pelzająca po urwisku pantera strąca żwir i kamienie do drzemającej rzeki. Wielkie, szaro-żółte jaszczurki, wynurzają się z dziupli na nocne uwoadów i wykrzykują głośno, ludzkim głosem bardzo nieprzyzwoite angielskie zdanie z łście oxfordzkim akcentem. Jakis ptak gwizdże raz po raz króciutką melodyjkę w minorowej tonacji i urywa zawsze na tej samej nucie — proszącej się o dokończenie — lecz nigdy nie kończy. A gdy wielki burmijski księżyc — najszlachetniejszy ze wszystkich księżyców świata — wschodzi powoli nad dzunglą, ciągnące za wojskiem szalake poczynają wyć żałobnie, stada małp, co rozespiane i zle — odgrają się chóralnie nocnym włośzegom. A psy w opuszczonych wioskach dopielniają swym przemijającym skowytem nocnej symfonii dzungli.

Piątka batalionowych Polonusów zesłała się na wymianę wrażeń i opija się mleczną herbatą nad wygasającym ogniskiem. Jaś Ślăzak — dowódca batalionowych moździerzy i dumny posiadacz rekordowych wស់ów — sumuje naszą rozmowę lapidarnym zdaniem:

— Dziwny kraj pierunie — i dziwna ta wojna.

— Polacy z murzynami — w Czternastej Armii Brytyjskiej — Japończyków po Brumie gonią — dorzuca Adam.

— I pewno "Rubens" nawet nie wie, że się tu bijemy — mruczy Wieś Bul.

— Nie wszystko Ci jedno? Mikado też nie wie?

Rozchodzimy się wcześniej pod koce, bo wieczory są jeszcze zimne, ale sen nie łatwo przychodzi w siedlonej poświacie księżycowej nocy. Powoli, w napól sennych marzeniach Kaladan toczy się szarymi wodami Wisły i już nie dzungla, lecz las sosnowy z wysokiego przgląda się brzegu.

Z bambusowych liści, krople nocnej rosy, padają ciężko, jak lzy.

HUBERT

Z frontu Dywizji Pancерnej

(Korespondencja własna "Polski Walczącej")



Pancerniak dożywia małych Holendrów

W Holandii

Szkoci nie powinni mieć powodów do zazdrości. Przyjaźń holendersko-polska zatacza wprawdzie coraz szersze kręgi i pogłębia się z dniem każdym, ale jednak Dywizja wierna jest nadal Szkocji. *Scotland for ever!* To znaczy, że w dziennikach miejscowych znawcy języka holenderskiego zdolali już znaleźć drobne ogłoszenia, zawiadamiające o... zarchizacjach jakichś "jongfrow" Kootje lub Gerike z rycerzami o polskim brzmieniu nazwisk, ale jednak o małżeństwach na razie jeszcze nie ma mowy. Inna rzecz, że nikt nie wie, jak długo tu będziemy "stać" czyli być, a wiadomo, że czas czyni cuda.

W stolicy "polskiej" Holandii wre prawdziwe życie. Co wieczór gra "Lwowska Fala" przy tak nabitej sali, że Apriksenkrantz obliczył już, jakby mógł napchać portfel, gdyby tak można sprzedawać bilety — niechby skromniutko — no tak po guldenie. Cóż w dzisiejszych czasach znaczyć może taki jeden gulden? Wiadomo, że nie!

"Dziennik Żołnierza" zmienił też swą skromniutką dotychczas szatę zewnętrzną i przeszedł na druk. Cóż to było za święto w redakcji. Nawet nie bardzo można było z nimi rozmawiać, tak nosa z dumy zadzierali. A najlepiej kierownik drukarni czyli maszynkarz, zecer, metrampaż, mechanik w jednej osobie. Pierwszy numer robił do szóstej rano.

Przypomniał mi jednak, że premiera "Dziennika Żołnierza" w Glasgow trwała jeszcze o godzinę dłużej i wtedy dopiero się okazało, że na ostatniej kolumnie jest duża trzyłamowa dziura, a w całej drukarni nie ma już ani jednego wiersza zapasu. Wstawiliśmy wtedy tam kliszę jakiejś siedemdziesięcioletniej pary Szkotów z parą bliźniąt. Ot tak, ni w pięć ni w dziewięć. Po prostu nic innego nie mieliśmy. Cała polska Szkocja długo nam tego nie zapominała, kpiąc z nas bezustannie.

Więc "Dziennik" teraz mamy z prawdziwego zdarzenia i oczywiście Or-Si zaczął od pierwszego zaraz numeru swą kampanię zamęczania czytelników swymi ponurymi opowiadaniem, które nazywa — o! bezczelności ludzka — wesołymi felietonami. Mówi nawet, że robi konkurencję "Werinajskowi". No tak źle już nie jest.

Jeśli mowa o lokalnych wydawnictwach, to na tutejszym rynku księgarskim ukazał się album, który z miejsca stał się "szlagierem." Został po prostu rozchwytywany, a nakładcy martwią się już o drugie wydanie. Bez funduszy specjalnych, bez drogo opłacanych specjalistów, bez komisji, poza budżetem, w rekordowo szybkim czasie wy-

Przed paru dniami wspominał nam dowódca armii kanadyjskiej, że szykuje jeszcze inne możliwości urlopowe, ale na razie plany te muszą pozostać w ściszej tajemnicy. Zarazę tylko, że nie będą one przykre dla "naszego brata."

Dowódca Armii przyjął korespondentów wojennych na herbacie w swym nowym, zdobycznym wozie mieszkalnym. Ciekawa to znów historia. Wóz ten, a właściwie wspaniały, luksusowy wagon, zbudowany został w Gandawie dla niejakiego Corneliusa. Ten Cornelius, miejscowy "kolaborant", dostał od Niemców olbrzymie zamówienia na wykonanie jakichś tam robót fortyfikacyjnych w Belgii. Zdudował więc sobie ten wagon, aby móc nim wygodnie jeździć na inspekcje i dozorywanie prowadzonych robót. Wagon składa się z sypialni, zaopatrzonej w umywalnię, tapczan, szafę, z salonu, mającego biurko, kominek elektryczny, trzy miękkie fotele, puszysty dywan oraz z przedpokoju, będącego równocześnie kuchenką i barem. Pan Cornelius liczył się prawdopodobnie z powrotem Niemców do Belgii, a w każdym razie nie brał pod uwagę możliwości ostatecznej ewakuacji. Dość, że sam uciekając, wagonu ze sobą nie wziął, lecz ukrył go w jakiejś podmiejskiej szopie, barykadując ją olbrzymim stosom starego żelastwa. Właśnie ta barykada zaintrygowała kanadyjskich saperów, którzy dobrali się do wnętrza szopy, wagon wyprowadzili i ofiarowali go gen. Crerarowi. Używa go on obecnie, jako wozu gościnnego. Spał w nim ostatnio nawet gen. Eisenhower, gdy wizytował jednostki kanadyjskie oraz naszą Dywizję.

Więc pogoda jest nadal straszna i choć nawet czasem deszcz przestaje padać, to aura jest nam na ogół nieprzychylna. Od kilku jednak dni, mimo wichury i wilgoci, która nie może bynajmniej wpływać na dobry humor, pancerni nuca piosenkę. Nową piosenkę, która podbiła Dywizję. "Merci mademoiselle". *Merci, mademoiselle, za serce twe, za kwiaty i za łzy...* Bardzo aktualne słowa.

A w ogóle mówiło się, że ta wojna jest niemuzyczna, że nie zrodziła żadnej takiej piosenki, która by przeszła do literatury muzycznej. Pewnie, że w porównaniu z poprzednią wojną światową dziś raczej milczymy, ale jednak piosenki tej wojny mają swą wielką wymowę. Choćby ten przebój angielski z roku 1939 — *We shall hang our washing on the Siegfried line...* Dumne słowa, które tak smutno się w roku następnym miały przemienić w tragiczną rzeczywistość. A jednak piosenka ta doczekała się dni swego powrotu, swego triumfu. Znow Sojusznicy walczą na linii Siegfrieda, już ją tu i tam sforsowali i tylko patrzeć, jak będą na niej wieszac swą wypraną bieliznę.



Nie tylko "gwiazdy" rozdzielają autografu...

Po czterech latach słowa się urzeczywistniły.

I podczas gdy armie alianckie mogą dziś znów śpiewać ten doskonały marsz, to zobaczymy, jak wygląda krzywa niemieckiej piosenki wojennej. A więc dawno już Niemcy zapomnieli o swym marszu na Anglię. "Wir marschieren gegen England" wyszło już z mody. Na miejsce butnego marsza przyszło sentymentalne tango — "Lili Marlene". Wzięte do niewoli w Libii tango to dziś z kolei chętnie śpiewane jest przez różne armie sojusznice, przy czym najlepsze chyba są słowa francuskie, dowcipnie wyśmiewające żołnierza niemieckiego, który stojąc na posterunku placzliwie boleje nad smutnym losem Hitlera. Jak mi opowiadali jeńcy, obecnie w armii niemieckiej popularne są stare walce, które może odpowiadają nastrojom tęsknoty do dawnych, dobrych czasów. Ale podobno jeszcze popularniejsze od śpiewania walca jest... nieśpiewanie w ogóle.

Ale nasi śpiewają. A dziś to ich chyba nawet Niemcy słyszeli, jak śpiewali na najdalej wysuniętych placówkach tango marynarskie i polki i oberki i piosenkę o powrocie. Mieli gości przemysłowych, bo odwiedził ich wysoki dygnitarz wojskowy — pan podporucznik Hausman. Tak jest. A z nim jeszcze przylazł ten Makutra, no i te dwa batiary, Szczepko i Tońko. Całe to bractwo wpakowało się do mojego wozu i że to im sala teatralna niby nie wystarcza, tylko że

muszą na sam czubek, koniecznie do bunkrów. No więc jazda. Przeskoczyło się na pełnym gazie przez drogę, pozostającą pod obserwacją nieprzyjaciela i w na pół rozwalonej chałupie odbyło się przedstawienie.

Cóż to było za przedstawienie! Najbardziej chyba galowe z galowych, najuroczystsze, najwspanialsze. Widownię stanowiły załogi plutonu czołgów, tkwiących na tej wysuniętej placówce. Na stole pojawiła się butelka koniaku i w programie wzięli udział wszyscy. Ale jak się bawili! Hausman został z miejsca "opanowany" — wykończony — po prostu kazali mu po kolei grać wszystko, co umie. A umie na tej harmonii sporo. Wieszczyk naopowiadał im historyjek takich, o których nie mieli pojęcia, bo przecież tam "groźny" Tolek Budyński nie stał za kulisą ze scenariuszem w ręku i nie kontrolował, więc też sobie puścił wodze i przemawiał językiem raczej żołnierskim. A jak jeszcze zaśpiewali swój szlagier — "Serce batiara" — to o odjeździe nie było już mowy.

Krakowskim albo lepiej lwowskim targiem całe towarzystwo skoczyło /dosłownie/ jeszcze do plutonu "Krwawych Koszuli" i tam w bunkrze przy lampkach naftowych odbyło się bisowanie. Huczał bunkier od chóralnych śpiewów. Jeden kolega był z Rybnika, więc Szczepko z Tońkiem mu zaśpiewali trojaka, drugi chciał walca, więc mu Hausman walca zagrał. Jeszcze inny przypomniał sobie o tej góralskiej przepowiedni o Panu Jezusicku, więc ją musiał zaraz Wieszczyk opowiedzieć.

A potem, gdyśmy tylko wrócili do ich bazy, wysiada z samochodu strzelec Makutra i z miejsca zaczyna zzielenieć z zazdrości reszcie zespołu "Fali" opowiadać swe przygody wojenne. "... Chciałem mu nawet darować życie — mówi wyniośle — ale Niemiec zaklął brzydko. Złość mnie więc porwała taka, że skoczyłem, zamierzyłem się i wbiłem mu kulę w pierś. Niestety jednak złamała się u rękolejści..." Oj, batiary, batiary. Tak jak w ich piosence —

Lwów czy Waszawa, czy gdzie on tam jest
batiar jest wszędzie ten sam.
Serce ma złote i wierno jak pies,
czy będzie tutaj czy tam.

Mówcie co chcecie, nie ma na świecie
joj, jak serce batiara.

Batiar, jak trza, to życie swe da,
bo takie serce on ma.
Tak, to prawda. Ze Lwowa czy z Warszawy, z Rybnika czy z Wilna — batiar ten walczy tu od tyłu miesiąc. Walczy o wolność tyłu krajów, ale ginie tylko za Jedną Wolność.

MACIEJ FELDHUZEN



dziennik Żołnierza

1. Dywizji Pancерnej

Rok V.

Holandia, niedziela 24 grudnia 1944

Nr 144

DEFILADA

TYGODNIK ŻOŁNIERZY 1. DYWIZJI PANCERNEJ

ROK I

17 GRUDNIA 1944

Nr. 1

Z polecenia Pana Generała Dyw. Norwid-Neugebauera, zamiast składania życzeń świątecznych i noworocznych, przesyłam £2 /dwa/ na pomoc dla m. st. Warszawy.

*Oficer Ordynansowy
T.M. Baranowski*

Dear Sir,
I have the greatest pleasure to enclose a cheque for £17.13.0, the proceeds of a bridge drive held at my house, in aid of the Warsaw Fund.

*Yours very faithfully,
/Mrs./ E. M. Archer*

Uprzejmie proszę o przekazanie załączonych kwot na cele niżej wymienione. Pieniądze te zostały złożone przez szeregowych kursów radiotelegraficznych zamiast życzeń dla dowódcy kompanii kpt. B.K.

1/ "Na Pomoc Warszawie" £8 sh.2.
2/ "Na Rannych Żołnierzy Polskich" £6 sh.14.
3/ "Ratujmy dzieci" £3.
Równocześnie przekazuję £2 na pomoc Warszawie. Jest to kwota złożona przez żołnierzy drużyny d-cy z okazji moich imienin. Ogółem przekazuję pocztą £19 sh.16.

*Szef Kompanii
st. sierż. S.J.*

W załączeniu przesyłam postal order na sumę £1 zamiast życzeń świątecznych i noworocznych na pomoc dla "Dzieci Warszawy".

Martynowski

Zamiast rozsyłania życzeń świątecznych i noworocznych przesyłam £5 /pięć funtów/ na pomoc Warszawie.

Maria Przybytkowa

Zamiast rozsyłania życzeń Świątecznych i Noworocznych składamy za pośrednictwem "Polski Walczącej":
Na rannych żołnierzy £5
Na sieroty po poległych w Wwie £5

*Razem £10
R. Szymański*

Na pomoc Warszawie: £1,664

Przy niniejszym przesyłam przekaz pocztowy na sumę £1, z prośbą o przekazanie tej kwoty na rzecz pomocy Warszawie.
Z żołnierskim pozdrowieniem.
J.S.

Przesyłam kwotę £30 sh.5 d.9 /słownie: trzydzieści funtów, pięć szylingów i dziewięć pensów/, złożoną przez szeregowych Kompanii Szlakowej i Brygady Grenadierów na rzecz jak następuje:
Pomoc ludności Warszawy £14 sh.16 d.7.
dla rannych żołnierzy £9 sh.3 d.9.
Polski Czerwony Krzyż £6 sh.5 d.5
Dowódca Kompanii kpt. K.

Zamiast życzeń świątecznych i noworocznych na pomoc Warszawie £1 wpłacił
Zdzisław L. por. kaw.

Oficerowie oraz szeregowi Rzutu Zoop. P.A.Mot. złożyli kwotę £25 sh.2 d.1.

Szeregowi I Dyonu . . . P.A. Mot. kwotę £40 sh.14 d.2 z przeznaczeniem na pomoc dla ludności Warszawy.
Załączam M.O. na kwotę £65 sh.16 d.3 1/2 z prośbą o przekazanie na powyższy cel.

Oficer Opieki P/15

Przesyłam £1 sh.10 na pomoc dla cierpiącej Warszawy.

M. Płoszajska

Z okazji imienin mojej Matki, pozostałej w Kraju składam £1 na "Pomoc dla Warszawy".

K.W.

W załączeniu przesyłam £1 /jeden funt/ na "Sieroty Warszawy" przesyłany na moje ręce przez Miss Buchan, The Bank House, Peebles.
Oficer opieki /J. S. ppor./

Zamiast życzeń świątecznych i noworocznych składam £1 /jeden funt/ na fundusz pomocy Warszawy.
Maria Kozłowska

Załączam £1 /jeden funt/ na fundusz pomocy Warszawy — wygraną w gryzda w Domu Żołnierza w Spott House.
M. Kozłowska

Proszę o przyjęcie załączonej kwoty £5 /słownie: pięć funtów/ na "Pomoc Warszawie".
Kwotę tę ofiarowała Miss Heeps.
Adam Tarczyłło

Zamiast udziału w przyjęciu pozegnalnym dla p. Min. Grosfelda składam bezimiennie sh.15 /szylingów piętnaście/ na fundusz pomocy ludności Warszawy.

Zamiast życzeń świątecznych i noworocznych przesyłam £2 na pomoc Warszawie.
Józef Mitowski

Zamiast życzeń świątecznych w myśl apelu P.C.K. przesyłam £1 na pomoc Warszawie.
Szeliga Jankowski

Przesyłam postal orders na sumę £2. Proszę uprzejmie o przekazanie £1 do Funduszu Ratowania Dzieci Polskich, £1 do funduszu Pomocy Ludności Warszawy.
E. Bagiński

Zamiast życzeń świątecznych i noworocznych przesyłam 2 funty /dwa funty/ "Na pomoc dla Kraju".
Zygmuntowie

Zofia i Olga Witortowie zamiast przesyłania życzeń świątecznych składają £2 na fundusz Pomocy Warszawy.
J. Andrychowski F/O

Przesyłam sumę £3.17.6 /trzy funty, siedemnaście szylingów i 6d./ na pomoc Warszawie.
R.D.

II Dywizjon . . . P.A.M. wpłacił kwotę £65.2.8 1/2 /słownie: sześćdziesiąt i pięć funtów, dwa szylingi i osiem i pół pensów/ na rzecz dzieci Warszawy.
Oficer opieki P.15

W załączeniu przesyłam Postal Order na kwotę £1.4.6, złożoną przez Mr. and Mrs. Comme w Croft na "pomoc Warszawy".
K. Junartowicz

Zamiast życzeń świątecznych i noworocznych — składam na fundusz pomocy mieszkańcom Warszawy — £1 /jeden funt/.

Wanda Orlowska

Zamiast życzeń Świątecznych i Noworocznych przesyłam Postal Order na sumę £2 /dwa funty/ na pomoc Warszawie.
Kan. Zbigniew i Andrzej Wojciechowscy z 1 Dywizji Pancernej

Zamiast życzeń Świątecznych i Noworocznych oraz zamiast podziękowań składają: Józefa i Witold Kolankowscy £2.0.0 Zosia i Witek Kolankowscy . . . 5.0 na Pomoc Dzieciom Warszawy /w załączeniu czek na £2.5.0/.

Przesyłam czek na £4.9.2 /cztery funty, dziewięć szylingów, 2d./ zebrane ze składek w czasie stoiska z fotografiami o Polsce, urządzonego w Nottingham Cooperative Society w październiku b.r.
Sumę powyższą proszę przekazać na Fundusz Odbudowy Warszawy
J. Andrychowski F/O

W załączeniu przesyłam Money Order No. CK. 55-359 na kwotę £15.3.2 /słownie: funtów szty. piętnaście, szylingów trzy, pensów dwa/.

Kwota ta przedstawia honoraria za prace rysunkowe wykonane przez ppor. Gramskiego na wystawie malarstwa i grafiki na R.A.F. Station X. i została przez niego ofiarowana na natchmiastową pomoc "Dzieciom Warszawy" przy czym ofiarodawca prosi, aby — jeżeli to jest możliwe — pieniądze te były niezwłocznie przekazane na powyższy cel do Czerwonego Krzyża w Sztokholmie.
*Polski Senior Oficer
Inż. K. Wołowski*

W załączeniu przesyłam M.O. Nr. VR 64070 na kwotę £3 sh.11 d.3 /słownie: trzy funty, jedenaście szylingów, trzy pensy/ zebrań przez żołnierzy grupy specj. Obozu Nr. 6 komp. 1-sza, z przeznaczeniem na "Fundusz Pomocy Warszawy".
ppor. Z.R.

£1 na Warszawę zamiast powinnowań świątecznych i noworocznych
Jerzy Zaremba z żoną

Przesyłam £4 /cztery funty/ "Na pomoc dla Kraju".
Julia Nowakowa

Przesyłam "Postal Order" na sumę £0.12.6 /dwanaście szylingów i 6d./ wręczoną na ręce kpt. mar. Ł. przez panią Kirk z Glasgow, z przeznaczeniem na pomoc Warszawie.
S.N.K.

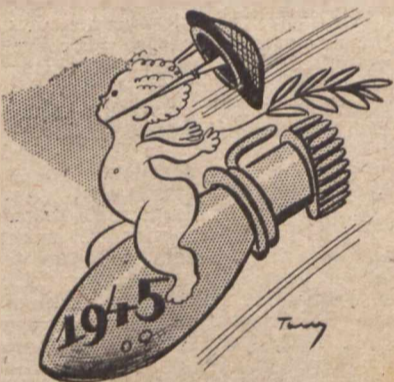
W załączeniu przesyłam P.O. na kwotę £7 sh.13, które złożył żołnierz Artylerii Przeciwpancernej I Korpusu na Pomoc dla Warszawy.
Witold Kucharski

Zamiast życzeń świątecznych i noworocznych w załączeniu przesyłam money order na sumę £5 /pięć funtów/ z prośbą o przekazanie na fundusz pomocy Warszawy.
R. L. Choynowscy

WERINAJSEK

SMIEJMY SIĘ — BO KTO WIE CZY WOJNA POTRWA TRZY TYGODNIE . . .

NOV²Y — ROK



mienia z powstańcami w Grecji. Z końcem 1945 roku wejdzie w życie Karta Atlantycka /już podpisana/, która obowiązywać będzie na czas wojny, jak również na pierwsze lata pokoju.

Zapoczątkowana w 1939 roku walka trwać będzie nadal pomimo złych warunków atmosferycznych.

Z końcem 1945 roku zostanie ustalone miejsce spotkania wielkiej trójki — o ile nie zajdą inne zmiany. Podbite narody otrzymają wolność o ile wyrażą na to zgodę i aprobatę wielkie mocarstwa.

Między 1 grudnia a 24 grudnia 1945 r. żołnierze będą mogli przesyłać życzenia świąteczne oraz "szczęśliwego Nowego Roku" w 1946!

PRZEPOWIEDNIE NA SERIO

PRZEPOWIEDNIE NA ROK 1945

Rok 1945 zacznie się punktualnie o godz. 24 w nocy po dniu 31 grudnia 1944 r. W pierwszym okresie 1945 r. walki na frontach nie zostaną wstrzymane. Między 3 stycznia 1945 r. a 4 stycznia 1945 r. wicelcy mężowie stanu powezma doniosłe uchwały, aby po wojnie nastąpił pokój. Chociaż padną zapowiedzi pokoju, to jednak na frontach będzie można usłyszeć poszczególne strzały.

Między 1 stycznia 1945 a 31 grudnia 1945 r. zostaną rzucone dalsze hasła, jak: "Walka z wrogiem" — "Walka o demokrację" — "Walka o uwolnienie narodów" — i t.d. W tym to okresie dojdzie do poro-

zgodzenia. Prace zlecane nie zostaną obcięte. Intrygi, plotki, donosicielstwa — nie zostaną zredukowane. Protekcja w przyszłym roku nadal będzie obowiązywać. Ksawery Pruszyński nie wycofa się z pracy publicystycznej.

W roku 1945 nie dojdzie do zgody pomiędzy Polakami na emigracji.

SZCZERY . . .

Żołnierz brytyjski:
—Panie, panie, oddaj pan broń i nie udawaj pan Greka . . .

AUTENTYCZNE

W pewnym biurze wojskowym odzywa się telefon:
—Przepraszam, czy mogę mówić z panem C . . . ?
—W wojsku nie ma panów! U nas w biurze urzędują tylko podporucznik C . . . !
—To w takim razie, czy mogę mówić z poetą C . . . ?

Na przyjęciu świątecznym u Szkotów, pani domu zapytuje polskiego żołnierza:
—Powiedz mi Władek, tylko szczerze, jakie potrawy szkockie najlepiej ci smakowały przez tych pięć lat w Szkocji?
Polski żołnierz długo myśli, aż wreszcie mówi:
—Chyba mleko! . . .

WIZYTA W GRECJI

Premier Churchill:
—Te ruiny, to chyba z czasów sprzed Chrystusa?
—Nie sir, to sprzed tygodnia . . .



WŚRÓD POLSKICH PROFESORÓW

—A ja panu mówię, że ta cała awantura w Grecji powstała dlatego, iż Anglicy nie mają wykształcenia klasycznego!
—Dlaczego?
—Nie znają greki . . .

JESZCZE JEDEN TALENT

W pewnym polskim gronie w Londynie obgaduje się poszczególne osoby ze świata politycznego:
—Czy pani wie, że pan X . . . jest wielkim kobieciarzem?
—To ciekawe!! Ja myślałam, że jest tylko analfabeta . . .

W POLSKIM SZPITALU

—Panie Kolego, proszę mi poradzić, czy doktor X . . . jest dobrym lekarzem?
—Też pytanie!!! To znakomity lekarz! Miesiąc temu został nawet kapitanem! . . .

DOBRY ŻART — FUNTA WART

—Pan wie, że cała "Lwowska Fała" dostała awans na podporuczników?
—Co pan mówi???

HAPPY NEW YEAR?



PRZED RZEŻBĄ VENUS Z MIŁO



—John, w tej Grecji to gorzej, niż we Francji!
—Dlaczego?
—We Francji za kolaboracjonizm obcinali dziewczynom włosy, tu zaś — ręce . . .

HAPPY NEW YEAR?

—Pan wie, że cała "Lwowska Fała" dostała awans na podporuczników?
—Co pan mówi???

HAPPY NEW YEAR?



Tekst i rysunki: TONY

Zarząd Związku Bzemiętników i Robotników Polskich w W. Brytanii, prosi swych członków żołnierzy przebywających w szpitalach lub na rekonwalescencji o podanie swych adresów do Sekretariatu Związku 66, New Cavendish Street, London, W.1., celem przyjęcia im z pomocą.

SPIS RZECZY:

- Józef Winiewicz: Przełom. — Aleksander Janowski: Odpowiedź. — Jerzy Pacyński: Rysunek. — Aleksander Boraj: Przejąd tygodniowy. — Julian Ginsbert: Wojna na morzu. — Z tygodnia na tydzień. — Stanisław Sikorski: Ostatnia akcja O.R.P. "Dragon". — Ryszard Kiersnowski: "Achtung!". — Hubert: Polonusy w Burmie /Korespondencja własna "Polski Walczącej"/. — Maciej Feldhuzen: Z frontu Dywizji Pancernejsz /Korespondencja własna "Polski Walczącej"/. — Eugeniusz Hinterhoff: Ofensywa Rundstedta. — Skrzynka pocztowa. — Scrutator: Sprawy polskie w książkach angielskich. — Błękitny Fundusz. — Na szpital im. gen. Sikorskiego. — Na Polish Children Rescue Fund. — Na "paczki od serca". — Na Polaków w Rosji. — Na paczki dla rannych żołnierzy. — Na P.C.K. — Na pomoc Warszawie. — Tony: Werinajsek. — Fotografie i rysunki.

BARWNA MAPA POLSKI

wraz ze zwięzłym skrótem statystycznym w języku angielskim i francuskim /umieszczonym na boku mapy/. Format 17 1/2" x 22 1/2 cali, ukaże się w sprzedaży w połowie stycznia 1945 r.

Cena 2/6

Cena 2/6

Cała rozsprzedaż tej mapy oddana do Kiosku w Ognisku Polskim w Londynie, 45, Belgrave Square, S.W.1.

Ze względu na ograniczony nakład, uprasza się o zgłaszanie zamówień jak najrybciej, tylko pod adresem Kiosku.

Wydawca: Tad. Kowalski, 15, Orsett Terrace, W.2.

WYDAJE BIURO OPIEKI NAD ŻOŁNIERZEM MIN. OBR. NAROD.

Adres Redakcji (Editorial Offices): 5, Portugal St., W.C.2. Tel., HOLborn 7600. 1-e piętro.
Redaktor przyjmuje w poniedziałki i wtorki od godziny 11-ej — 13-ej.
Redakcja nie zwraca rękopisów niezakwalifikowanych do druku.

Warunki prenumeraty: Miesięcznie z przesyłką pocztową — sh.1. Kwartalnie z przesyłką pocztową — sh.3. Należność prosimy wpłacać przekazem pocztowym (Postal Order) pod adresem Administracji.

Ceny ogłoszeń: 1 cal przez jeden łam — sh.20. Zarezerwowane miejsce 50% drożej. Ogłoszenia o poszukiwaniu pracy — 2sh. za wiersz.

Adres Administracji (Business Offices): 63, Lincoln's Inn Fields, W.C.2. Tel., Chancery 5505 i 5506.

Printed for "Polska Walcząca" by St. Clements Press, Ltd., Portugal St., Kingsway, W.C.2. Registered at the G.P.O. as a newspaper.

51 rannych żołnierzy z I. Dyw. Panc. ze szpitala angielskiego w Buxton serdecznie dziękują Lotnikom Polskim z Newton za Ich bezinteresowną opiekę oraz piękne podarki gwiazdkowe.

ZYCZENIA

Dowódca i żołnierze Baonu Strzelców Podhalańskich zasyłają serdeczne życzenia z okazji Bożego Narodzenia i Nowego Roku wszystkim żołnierzom I Dywizji Pancernejsz przebywającym w szpitalach w W. Brytanii, Francji, Belgii i Holandii: szybkiego powrotu do zdrowia, a potem do Polski.
Dowódca Baonu

P. HEDINGER brat Mieczysława prosi o podanie swego adresu do Redakcji "Polski Walczącej".

Kalendarz ścienny "Książnicy Polskiej" (242-250 Hope Street, Glasgow)

POLISH SOLDIERS' CALENDAR 1945

Cena 3/- wraz z Purchase Tax (wielkość i waga przepisana przez Paper Control) zawiera 14 historycznych zdjęć Polskich Sił Zbrojnych lądowych, morskich, lotniczych, zagranicą i w Kraju.
Sprzedaj we wszystkich sklepach i kioskach.

BE TALLER! INCHES PUT YOU MILES AHEAD!
Increased my own height to 6ft. 3 1/2 ins.
CLIENTS GAIN 1 to 6 inches
No Appliances—No Tablets—No Dieting
Ross System Never Fails
Fee £2 2s. Complete Details 6d. stamp
MALCOLM R. ROSS
Height Specialists,
BM/Hyde, London, W.C.1